

	11	12	13	14	15
23	24	25	26	27	28
37	38	39	40		41
50	51	52	53		54
63	64	65	66		67
77	78	79		80	
89	90	91	92		93
103	104		105	106	107
117	118	119	120	121	122
130	131		132		133
142	143	144	145		146
155	156		157	158	159
168	169	170	171	172	173

DZIECI RODZĄ, DZIECI STR. 10

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamenia

NR 7 (853) 6 kwietnia 1986 Cena 15 zł

**Cześć,
pełniemy
jak miechy**



STR. 5

**Sienkiewicz
wciąż
krzepi**

STR. 6-7

**OŁAWA
Cud
i po cudzie?**

STR. 12



CHINEŃSKI FILM

STR. 8-9

Książki Józef
na Wesołej

STR. 8

z notatnika

20 III. Wyjazdowe posiedzenie Komisji Oświaty, Nauki i Wychowania WRN w Lublinie odbyło się w Deblinie. M. in. gościliśmy w Liceum Lotniczym im. Żwirki i Wigury przy Wyższej Oficerskiej Szkole Lotniczej im. Jana Krasińskiego. „Liceum Lotnicze — głosi „reklamówka” — przygotowuje maturzystów do studiów w WOSL na kierunku pilot lotnictwa odrzutowego z perspektywą służby na samolotach nadźwiękowych nowych generacji”. Brzmi to zachęcająco, toteż kandydatów do liceum nie brakuje, ale selekcja, zwłaszcza z uwagi na konieczność szczególnie dobrego stanu zdrowia, jest bardzo duża. W bież. roku szkolnym 60 proc. uczniów wywodzi się ze środowisk robotniczych, 32 proc. — ze środowisk inteligentnych i 8 proc. ze środowisk chłopskich. Dla zainteresowanych informacja: wyżywienie, umundurowanie i zakwaterowanie są bezpłatne.

Gospodarze liceum dokładnie zapoznali nas z programem szkoły, mieliśmy możliwość obejrzeć sale lekcyjne, czy — jak kto woli gabinety, do których coraz bardziej wkracza nowoczesność.

Serdeczne było również powitanie w szkole podstawowej im. Bohaterów Lotnictwa, urządzonej niezwykle estetycznie — wiele reprodukcji obrazów, wiele zieleni, interesujące plansze naukowe. Jest to na pewno szkoła w rodzaju tych, które się rzeczywiście lubi.

Sekretarz Wojewódzkiego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole, działającego pod egidą PRON-u, Stanisława Witkowskiego, zachęcała do czynnego poparcia koncepcji Klubu Przewodzących Szkół. Temat sam w sobie, sądzę, że warto będzie do niego wrócić w osobnej publikacji.

21 III. W Lublinie gościliśmy wicepremiera Zbigniewa Gertycha, który m. in. spotkał się z przedstawicielami środowisk kulturalnych. Sporo mówiono o budowie teatru, który — według słów wicepremiera — ma być obiektem na skalę europejską. Mury stoją, ale kosztownych technicznych urządzeń wewnątrz, które w dużej mierze trzeba będzie sprowadzić z zagranicy, na razie nie ma. Jeśli chodzi o zakupy w krajach socjalistycznych, to wicepremier obiecał daleko idącą pomoc, gorzej jednak będzie z zakupami za twardą walutą, a tu potrzeby są rzędu miliona dolarów. Teraz głównie unowocześniamy poligrafię i na to idą środki, choć i tak mniejsze niż planowane.

Prof. Zbigniew Gertych już z góry się martwi, jak zapelnimy widownie. Sądzę, że nie jest to tylko troska wicepremiera. 1200 miejsc na widownie! Oczywiście można ludzi ściągać samochodami z terenu, ale najpierw trzeba zachęcić aktorów, aby osiedlili się w Lublinie. Jak zachęcić? Mieszkaniami i możliwością występowania w telewizji. Dom Aktora przy teatrze to kropka w morzu potrzeb, a telewizja lubelska ciągle w powijakach. (Mimo to pod jej adresem, a mam na myśli Panoramy Lubelską, stale padają uwagi krytyczne. Przy tej prymitywnej technice i tak tworzą cuda!) Dalej — potrzebna będzie wykwalifikowana kadra techniczna. Kadra i znów... mieszkańca! Kolejny problem: ile trzeba będzie dopłacić do każdego biletu? W Warszawie jest teatr, gdzie dopłata do jednego (!) biletu przekracza już trzy tysiące złotych! Włodzimierz Wiszniewski znajduje receptę w postaci połączenia teatru z operetką, ale to chyba półśrodek.

Budowa teatru — kłopot. Teatr (po przekazaniu do użytku) — kłopot. Na razie Lublin całkiem nieźle świadczy na Fundusz Rozwoju Kultury, można powiedzieć, że przoduje w kraju, ale Warszawa ma inne potrzeby, a o Lublinie, jeśli pamięta, to z okazji kolejnej rocznicy powstania PKWN tylko...

„Byłoby dobrze, gdyby Lublin miał swoich wujków w Warszawie” — marzył Zbigniew Miazga, a wicepremier wpadł mu w słowa: „Chcielibyście, abym ja był takim wujkiem?”

A dlaczego by nie? Byli by partyzantów, którzy niegdyś działali na Lubelszczyźnie, i mieli coś do powiedzenia w sprawach krajowych, niestety, coraz mniej, każdy sojusznik naszego miasta zawsze będzie mile widziany!

Zarty żartami, ale nasi posłowie muszą wykazać wiele inicjatywy i wiele starań o to, aby teatr stał się nie tylko sprawą lubelską, ale sprawą ogólnopolską. Apelu prasy niewiele tu pomogą, bo można pisać aż do wyczerpania zapasów wszystkich długopisów i wszystkich beczek z farbą drukarską. To piwo, które w dekadzie sukcesu nawarzyliśmy, trzeba wypić do dna, zwłaszcza, że to nie jest piwo marki „Chmielowe”. Oczywiście można znaleźć inne wyjście i browar wysadzić w powietrze, ale byłby to wstyd na kilka następnych pokoleń. I dlatego Franciszek Piątkowski i Andrzej Rohin mają w tym względzie w postaci mojej skromnej osoby najwierniejszego sojusznika. Obawiam się jednak, że premiery w nowym teatrze nie doczeka się nawet moja wnuczka...

(Jaworski, gdzie się podział twój optymizm?)

25 III. Stale brak miejsca i dlatego odkładam temat o Nowej Hucie, a przecież przebywałem tam ostatnio, zaproszony na V sesję Krajowego Klubu Reportażu. Szef klubu, Stanisław Zagórski, redaktor naczelny łomżyńskich „Kontaktów”, jest nie tylko znakomitym redaktorem, ale i świetnym organizatorem choć złośliwi twierdzą, że chętnie wymyka się z Łomży i dlatego każda sesja odbywa się w innym mieście polskim.

Huta im. Lenina, mimo że człowiek wiele już w życiu widział, robi wrażenie na zwiedzających. Wytwarza 37 proc. krajowej surówki, 33 proc. gotowych wyrobów walcowanych, 30 proc. stali. Tylko tu wyrabia się blachy o cynkowane, zimnowalcowane i elektrotechniczne (jeśli czegoś nie poplątałem). Urządzenia z różnych stron świata — obok radzieckich — m. in. japońskie, austriackie... Komputery, telewizja, przyciski, którymi wprawnie operuje wykwalifikowany pracownik... Ludzie jakoś giną w tych gigantycznych halach, chociaż załoga liczy 33 tysiące osób. Niestety, fluktuacja kadr jest znaczna. 3700 osób skorzystało z możliwości przejścia na wcześniejszą emeryturę, a byli to fachowcy najwyższej klasy. Inż. Kaczor, doradca naczelnego dyrektora, który pełnił rolę cicerona, chętnie służył wyjaśnieniami, chociaż cały czas podkreślał, że właściwie nie jest upoważniony i żeby nie powoływać się na jego informacje. Słuchałem więc, ale nie notowałem...

Poniekąd tradycją Klubu stają się spotkania jego uczestników z wziętymi reportażyстами, którzy dzielą się swą wiedzą i doświadczeniem z młodymi. Tym razem na „ringu” stanął tylko Bruno Miecugow.

Miecugowa w 1953 r. skierowano do

Nowej Huty, pracował w ukazującym się raz na dwa dni (co za oszczędność papieru!) piśmie (dwudzienniku?) „Budujemy socjalizm”.

Co to były za czasy! Nic nikogo nie dziwiło. Nawet kiedy spychacz odkopał w ziemi lokomotywę wąskotorową...

Miecugow opowiadał młodym o entuzjastycznie budowniczych, o czasach, w których nikt nie pytał „za ile”. Sławomir Mrozek, który pracował w nowohuckiej brygadzie „Służba Polsce”, śpiewał tak donośnie, że aż uszkodził sobie struny głosowe! A później, kiedy krakowski oddział ZLP przydzielił mu pokój z kuchnią, nie przyjął go, bo jako kawalerowi, wystarczyła mu mansarda, natomiast mieszkanie oddał nie znanemu mu bliżej Ryszardowi Kosińskiemu, mającemu żonę i dzieci...

Co to były za czasy! — powtórzę. „Spędy” Klubu stają się okazją do wielu prywatnych spotkań starych znajomych i przyjaciół. Ze Szczecina przyjechał Bohdan Chocianowicz, który zabawił mnie swymi wrażeniami z Wietnamu, gdzie wybrał się na wycieczkę i w grudniu ub. r. zażywał morskich kąpiel. „Jaki ten świat jest mały! Stoję w samolocie w koleje do toalety i słyszę, że mijamy właśnie jedną granicę. Stoję dalej, a tu słyszę, że przekraczamy kolejną granicę. Wychodzę z toalety, a my już nad Wietnamem...”

Wracałem z Krakowa pociągiem pospiesznym. Kolejki przed kasami były tasiełcowe, zgłosiłem konduktorowi brak biletu. Wręczył mi niezapisany karteluszek i zgłosił się do mnie późno, już za Nałęczowem. „Paci pan...” (wyszło coś pięćset z groszami). Sięgnąłem do portfela, a on poprosił mnie na korytarz i z tych pięćset złotych próbował mi oddać dwieście, ale oczywiście, bez biletu! Oburzyłem się jako świadomy obywatel, wypisał więc bilet i szybko się ulotnił. W Krakowie wiele osób było w podobnej do mnie sytuacji, ciekawe, ile złotych młody funkcjonariusz PKP włożył do własnej kieszeni? Nie zdziwię się, jeśli niektóre linie PKP będzie się likwidować z uwagi na „całkowity brak podróźnych”.

Czyżby i tu potrzebna była Inspekcja Robotniczo-Chłopska?

29 III. Złapano sprawców włamania do Katedry w Gnieźnie, niestety, kultura polska poniosła niepowetowaną stratę — obrabowano srebrną trumnę — relikwiarz św. Wojciecha. Wylamano nie tylko rzeźbę główną, ale z narożników sarkofagu figury aniołów, zaś sześciu orłom, podpierającym trumnę, urwano skrzydła. Dzieło złotników gdańskich z XVII wieku młodzi złoczyńcy zdołali przetopić na złom...

„Ta kradzież — pisał w „Polityce” Marek Kwiatkowski, historyk sztuki — oburza nie tylko człowieka religijnego, ale każdego Polaka. Zostało zniszczone bezcenne dzieło sztuki, które ma w sobie treść religijną — jako relikwia, ale jest też pamiątką historyczną, związaną z początkami państwa polskiego. To tak, jakby odrąbać głowę pomnikowi Piotra I w Leningradzie. Każde wejście do świątyni i zbeszczenie jej, niezależnie od wyznania, jest godne potępienia, jest to gwałt na sferze uczuciowej ludzi, w tym przypadku dotyczy również miejsca, z którego wywodzi się historia Polski. To jest przestępstwo przeciwko narodowi i jego historii. Ja byłbym za najwyższym wymiarem kary dla złodzieja, bywały już takie w aferach mięsnych, a ta kradzież jest znacznie większym przestępstwem...”

„Prawo i Życie” w artykule pt. „Zbrodnia w katedrze” pisze: „Przez pierwsze tysiąc lat dziejów gnieźnieńskiej katedry lupili ją, dewastowali i rabowali jej skarby ludzie obcy — wrogowie i najeźdźcy. W drugim tysiąc-

leciu, w odstępie niespełna siedmiu lat, dwukrotnie została barbarzyńsko okradzona przez swoich — synów narodu, który tutaj zaczął pisać swą historię”.

Nie znamy jeszcze nazwisk sprawców wandalizmu, ale wiadomo już, że są to ludzie młodzi, zdemoralizowani, którzy otarli się o wymiar sprawiedliwości. Wkrótce dowiemy się nowych szczegółów, bandyci staną przed sądem, który wymierzy im sprawiedliwość. Z czasem uda się z pewnością wykonać kopię rzeźb, ale nawet najstarsza kopia nie zastąpi oryginału. Szkoda więc, że nie pomyślano o tym przedtem...

„Prawo i Życie” przypomina na marginesie tej ponurej sprawy, iż pierwszą inwestycją nowego proboszcza parafii w Byszewie, w malowniczym zakątku Borów Tucholskich, który nastąpił tam przed czterema laty, było założenie w późnogotyckim kościele elektrycznego systemu alarmowego, choć kościół ten kryje jeden tylko bezcenny zabytek — starszy ościon, jak rzecz tradycja, obraz Matki Boskiej Byszewskiej. Gnieźnieńska katedra zaś jest trzecim w Polsce pod względem wartości zasobów — po Wawelu i Jasnej Górze — skarbcem dzieł sztuki. Wprawdzie „mechaniczne zabezpieczenie” o-biektu”, zdaniem fachowców z MO, było „teoretycznie dobre”, ale, jak widać, i tu teoria mija się z praktyką. „Czy — zapytuje „Prawo i Życie” — i poprzednia kradzież świecznika i cała seria włamań do kościołów, również na terenie tej archidiecezji, nie uczuliła władz kościelnych na te sprawy?”

W „Polityce” kierownictwo Towarzystwa Opieki nad Zabytkami apeluje do Komisji Wspólnej Przedstawicieli Rządu i Episkopatu, żeby natychmiast zajęła się ubezpieczeniem polskich wewnątrz kościelnych. W odpowiedzi „Polityka” stwierdza, że taka współpraca istnieje od lat i układa się pomyślnie. „Na pielegnację takich zabytków państwo łoży poważne sumy. Nie stysze-liśmy ani nie widzieliśmy w prasie katolickiej żadnych skarg na ten temat. Na konferencji prasowej 25 marca rzecznik rządu poinformował o sugestiach na temat konkretnych kroków w sprawie ochrony Katedry Gnieźnieńskiej, jakie milicja przedstawiła stronie kościelnej z a n i m (podkreślenie M.A.Jaw.) jeszcze doszło do włamania”.

Chciałbym zapytać od siebie: jak są zabezpieczone kościoły lubelskie przed włamaniami? Buduje się w mieście wiele nowych, ale czy myśli się o odpowiedniej ochronie starych, zabytkowych, w których kryją się prawdziwe skarby sztuki sakralnej?

31 III. Drugi dzień świąt i śmigus-dyngus. Watahy chłopców i młodzieńców biegają po uliczkach, osiedla z całymi wiadrami napełnionymi wodą pojąc na dziewczęta Te, unikając grożącego im niebezpieczeństwa, wola siedzieć w domowych pieleszach. Ale od czasu do czasu któraś z nich znajdzie się na dworze i wtedy nie ma słowa „przepraszam”. Milusińscy w spodniach bacznie lustrują samochody: jeśli ujrzą w nich białogłową, biegają za wozami, czekając aż te zatrzymają się pod blokiem. Kilka samochodów zawróciło: rodzice nie chcieli narażać córek na zimną kąpiel.

Tradycja tradycją, ja w młodym wieku też o niej pamiętałem: wówczas nie taszczyło się wody w wiadrach, ale w butelkach bądź w kubkach. Oblewało się, owszem, bez przesady jednak, nikt nikogo nie narażał na przeziębnienie. No i sama zabawa trwała najwyżej do południa, a dzisiaj trwa do wiatu!

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

☆ W szkołach województwa lubelskiego trwa od lutego (do września br.) konkurs czytelniczo-plastyyczny, którego organizatorem jest Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie.

☆ W Domu Chemika w Puławach odbywał się w dniach 13—16 marca Turniej Recytatorski. Były to eliminacje wojewódzkie do zaplanowanego na maj Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.

☆ W gmachu KUL zapoczątkowała swoją działalność Galeria Sztuki Sceny Plastycznej. W marcu otwarta została wystawa rzeźb Andreja Wasiliewa „Noc”. Ekspozycja czynna będzie do

końca kwietnia. W przyszłości planowane są w Galerii wystawy plakatu Franciszka Starowieyskiego i prac niezłajęcej już rzeźbiarki Aliny Szapocznikow, której twórczość stała się inspiracją dla przedstawienia Sceny Plastycznej „Zielnik” (1976 r.).

☆ 3 kwietnia w siedzibie Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie zorganizowano zjazd twórców, artystów ludowych z obszaru województwa lubelskiego.

☆ W listopadzie 1984 roku Teatr im. J. Osterwy obchodził jubileusz 40-lecia. Z tej okazji, z niewielkim jak na nasze możliwości wydawniczym, ponad rocznym poświęceniem, ukazała się książka jubileuszowa „Jego siła nas urzekła...”

Rzecz została przygotowana przez komitet redakcyjny pod przewodnictwem Ignacego Gogolewskiego. Zawiera liczne fotografie, rozprawy i szkice, niestety o wartości dosyć zróżnicowanej. Obok ważnych tekstów Juliana Lewańskiego, Ireny Sławińskiej, Stefana Kruka, znalazły się tam również rzeczy blade, a nawet rze bardzo godne takiej książki, którą wydano na papierze wysokiej klasy, z twardą okładką. Stanowi ona jedną z lepiej i staranniej wydanych pozycji w oficynie lubelskiej.

☆ Z jednodniowym wyprzedzeniem obchodzono w tym roku Międzynarodowy Dzień Teatru. W Lublinie główne uroczystości z tej okazji odbyły się 26 marca w Domu Kultury LSM, gdzie zapoczątkowano także działalność małej sceny lubelskiego Teatru Muzycznego. Na inaugurację dano premierę „Zamku na Czorsztynie”.

☆ W ostatnim czasie wyraźnie do-

minowały w życiu kulturalnym Lublina zdarzenia teatralne. Z okazji 100-lecia gmachu teatralnego przy ulicy Narutowicza Teatr im. J. Osterwy zorganizował 26 marca sesję teatrolologiczną poświęconą zagadnieniom historii tej sceny. Referaty wygłosił m.in. dr Barbara Stykowska na temat repertuaru teatru lubelskiego na początku XX wieku, prof. Julian Lewański o najświetniejszych spektaklach XVII- i XVIII-wiecznych, dr Anna Kuligowska o wędrówkach aktorskich na przełomie XIX i XX wieku, Henryk Gawarecki o budynkach teatralnych Lublina. Sesji towarzyszyła wystawa prac magisterskich o tematyce teatralnej, napisanych przez studentów KUL i UMCS.

☆ W kwietniu przypada jubileusz dwudziestolecia Zespołu Tańca Ludowego „Gracja”. 5 kwietnia o godz. 18 w „Chatce Żaka” odbędzie się uroczysty koncert pt. „Bądź pochwalona”. (w)

Z dyskusji nad projektem Programu PZPR

PROBĘ podsumowania dyskusji nad projektem Programu PZPR w Lubelskich Zakładach Naprawy Samochodów podjąłem po rozmowach z przedstawicielami załogi, m.in. I sekretarzem KZ PZPR — **Andrzejem Piestrzyńskim**, kierownikiem zakładowego Ośrodka Kształcenia i Informacji — **Franciszkiem Zyniem**, redaktorem rozgłośni zakładowej — **Andrzejem Radziejewskim**; pracownikami z bezpośredniej produkcji. Zapoznałem się także z dokumentacją, dyskusję tę rejestrującą. Poszukiwałem przede wszystkim odpowiedzi na pytania: co obecnie boli ludzi z LZNS, czym żyją? Partyjny Program stał się w LZNS naturalną odczynnością nie tyle do wyznań natury ogólnej, ile głównie dotyczących zakładu i jego okolic.

W wypowiedziach ludzkich dominowała ekonomia. Nauczono się już liczyć nie tylko z ołówkiem w ręku, ale i z własnym kieszonkowym komputerem. Największe zainteresowanie budził bez wątpienia III rozdział Programu: „Cele i zadania społeczno-gospodarczego rozwoju kraju”. Pozostałe zagadnienia traktowano z mniejszą uwagą, choć nie oznacza to, że pomijano milczeniem. Ludzi obchodzi jednak przede wszystkim, jak będą żyli, co będzie im dane, czego mogą wymagać, a co muszą wypracować. Postulaty konkretności, precyzyjnego określenia zadań, dokładnego bilansu możliwości, powtarzały się nieustannie. Nie mając generalnie zastrzeżeń do Programu jako całości (nie było głosów aby jakaś istotna kwestia została w nim pominięta), załoga pragnęła widzieć rozłożenie perspektywicznych celów na konkretne pięcioletki, na poszczególne etapy rozwoju. Dopiero dyskusja nad Programem w połączeniu z dyskusją nad zjazdowymi Tezami będzie na pewno bogatsza w konkrety. Ludzie pragną dosłowności, stąd wrażenie, iż Program jest zbyt ogólnikowy.

Najbardziej drażliwa i bolesna to bez wątpienia kwestia mieszkaniowa. Ludzie twierdzą, iż zarysowany projekt rozwoju budownictwa jest minimalistyczny. Potrzeby, ich zdaniem, są co najmniej dwukrotnie wyższe. Oczywiście, większość zdaje sobie sprawę z realiów i uwarunkowań gospodarczych polityki mieszkaniowej. Niemniej pozostaje obawa o zbyt niski przyrost mieszkań w stosunku do potrzeb. Opowiadając się za rozwojem np. budownictwa zakładowego, sugerowano jego limitowanie. Wyrażano bowiem przekonanie, iż w samym resorcie budownictwa istnieje zbyt dużo nie wykorzystanych rezerw, by podobną działalnością obciążać inne gałęzie gospodarki. Przeczyło to zasadzie dobrze rozumianej specjalizacji. Ostatnie kontrole Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej wytknęły ponadto, że istnieją nadal nieprawidłowości w samym rozdziale mieszkań. Z przesadnym rozwojem budownictwa zakładowego wiąże się także, w odczuciu pracowników, zbyt przywiązanie do pracodawcy.

Co do budownictwa jednorodzinnego, istnieją poważne obawy o realność tej formy budownictwa, o powszechną jej dostępność. Wciąż rosnące ceny materiałów, nadal odczuwalne braki rynkowe w tym zakresie, bariery biurokratyczne z tym związane — wszystko to zniechęca ludzi do tej

drogi wzbogacania zasobów mieszkaniowych. Główny zatem postulat pod adresem budownictwa brzmi: uruchomić wszystkie rezerwy w resorcie zań odpowiedzialnym.

Odrębnym zagadnieniem jest mocno zaakcentowana w projekcie Programu konieczność oszczędzania. Z zakładowej „działki” doskonałym przy-

Coraz mniej obojętnych

Wiesław Horabik

kładem braku oszczędności może być kwestia tzw. „odchudzenia konstrukcji”. Załoga proponowała u nowocześniejszej konstrukcji montażowych poprzez stosowanie stali cieńszej i lżejszej, ale zachowującej taką samą wytrzymałość jak obecna. Opracowano projekty, wyliczenia, całą dokumentację techniczną. Producent nie wyraził jednak zgody na zmianę, utrzymując, iż oznaczałoby to dezorganizację w wykonaniu przezeń planu. Oszczędności w ten sposób osiągnięte byłyby tymczasem poważne. Wypłynęła więc drażliwa sprawa planów implikujących nowoczesność technologii. To wielkie zagadnienie, które w procesie planowania musi być brane pod uwagę. W przeciwnym wypadku objawia się bowiem absurd — oszczędność materiałowa nie opłaca się w rozliczeniu finansowym!

Kolejną kwestią, nad którą dyskutowano, było rozłożenie plac w przemyśle i innych dziedzinach gospodarki, a przede wszystkim administracji. Robotnicy, pamiętając o specyfice poszczególnych zawodów, uważają, iż place w administracji państwowej, i szerzej, w sektorze nieprodukcyjnym, są za wysokie w stosunku do plac w przemyśle. Podkreśla się, że tzw. średnia krajowa nie mówi o sprawiedliwym podziale dochodów. Administracja, ich zdaniem, otrzymuje podwyżki jak gdyby z zasady(?).

Wszelkie kontakty, choćby z usługową sferą życia, przynoszą pracownikowi z reguły przykre doświadczenia. Dużo było przy tym narzekania na bezduszność i nadmierny rozrost biurokracji.

Ze sprawą plac wiążą się także postulaty konkretnego wynagrodzenia za konkretną pracę. Fakt, iż znalazło to swój wyraz w Programie, został przyjęty bardzo pozytywnie. Ludzie w tej chwili sami zaczynają eliminować z brygady obiboków. Konieczne są jednak wzmożone działania administracyjne skierowane przeciw bumelanctwu. Stąd częste głosy za akordowym systemem pracy i wynagradzania.

Wyraźne odbicie znalazła w dyskusji również kwestia zadłużenia kraju. Moi rozmówcy uważają,

że spłata zadłużenia powinna być bardziej racjonalnie rozłożona na poszczególne działy gospodarki.

Drugim, pozakonomicznym, źródłem troski i niepokoju stał się cały blok zagadnień społecznych. Nadal bulwersującą sprawą pozostaje kwestia pasożytnictwa społecznego i nadmiernego bogactwa się niektórych grup społecznych. Ludzie nigdzie niepracujący, będący jedynie ciężarem dla państwa, są przez nie ciągle zbyt łagodnie traktowani. Pasożytnictwo karze się najczęściej gęźwiną, poučeniami i skierowaniem do urzędu

zatrudnienia. Postulaty w tym zakresie szły bardzo daleko, włącznie do... organizacji przymusowych obozów pracy! Zwracano także uwagę na występowanie tego zjawiska wśród kobiet, które, będąc już z założenia pod troskliwą opieką prawa, wykorzystują tę pozycję czasami w sposób niegodny. Mocno podkreślano konieczność energicznej walki z prostytucją, przypadkami zaniedbywania obowiązków, rodzicielskich, meliniarstwem i alkoholizmem.

Wiele kontrowersji narosło wokół problemu szkolnictwa. Obecny stan oświaty spotyka się z całą masą zastrzeżeń i uwag. Propozycja rozpoczęcia edukacji powszechnej od szóstego roku życia dziecka budzi wiele wątpliwości. Ludzie sądzą, iż szkolnictwo, ze swoją skąpą bazą i niezaspokojonymi wciąż potrzebami, jest do takiej reorganizacji nie przygotowane. Pociągnęłaby ona szereg kolejnych problemów do rozwiązania. W miarę udany eksperyment z tzw. klasami zerowymi nie jest tu argumentem wystarczającym. Nakłady na oświatę powinny być zdecydowanie wyższe. Odpowiada ona przecież za ogrom zagadnień życia społecznego. Czterozmianowy cykl nauczania, praktykowany w niektórych szkołach, jest udręką dla rodziców i uczniów, dezorganizuje system wychowawczego oddziaływania rodziny i racjonalną gospodarkę wolnym czasem uczniów. Program obowiązkowego wykształcenia średniego uważa się także za zbyt ambitny jak na aktualne możliwości.

Podnoszono wreszcie, iż stosunkowo mało miejsca poświęcono w Programie sprawie podnoszenia kultury politycznej narodu.

Nie we wszystkich punktach zgadzając się z wyrażonymi opiniami, należy podkreślić, że dyskusja o Programie udowodniła, że zasada jawności życia partyjnego, odwaga w formułowaniu myśli i w podejmowaniu dyskusji bez tematów tabu, coraz pewniej zyskuje sobie prawo obywatelstwa w naszym społecznym życiu.

„Coraz mniej wokół nas obojętnych” — usłyszałem na koniocy spotkania.

Śłużba zdrowia

Nie jest aż tak źle

Rozmowa z doc. dr. hab. Leszkiem Wdowiakiem

— Zakład Organizacji Ochrony Zdrowia, którym pan kieruje, spełnia rolę jednostki międzydziałalowej. Ma on także charakter interdyscyplinarny. Nawiązując współpracę z ośrodkami zagranicznymi, Czym dzisiaj żyje świat w zakresie prowadzonej przez państwa organizacji?

— Głównie programem Światowej Organizacji Zdrowia „Zdrowie dla wszystkich do 2000 roku”.

— Jakie są cele tej organizacji?

— Przede wszystkim ochrona życia, poprawa zdrowia oraz stworzenie obywatelom równych szans korzystania ze wszystkich form tej ochrony. Nasz resort zdrowia i opieki społecznej przygotował polską wersję programu „Zdrowie dla wszystkich do 2000 roku”. Zamierza się osiągnąć następujące cele:

— Zredukowanie o połowę różnic w stanie zdrowia ludności zamieszkującej w poszczególnych regionach Polski. Różnice te wynikają przede wszystkim z nierównomiernego rozmieszczenia szpitali, przychodni i kadr służby zdrowia na terenie kraju.

— Obniżenie o 10 proc. niepełnosprawności u ludzi do 60 roku życia.

— Całkowita eliminacja chorób, którym w całości można zapobiegać, jak odra, różyczka, błonica, kiła wrodzona.

— Zmniejszenie umieralności niemowląt do 10 zgonów na 1000 urodzeń żywych.

— Zahamowanie wzrostu chorób układu krążenia i chorób nowotworowych

oraz obniżenie częstotliwości występowania tych chorób.

— Obniżenie zgonów z powodu wypadków i urazów o 25 proc.

— Czy sądzi pan, że nasz system opieki zdrowotnej jest w stanie te ambitne plany zrealizować?

— Moim zdaniem, osiągnięcie niektórych z tych celów zdrowotnych jest nierealne. Jeżeli do 2000 roku obniżymy umieralność niemowląt do 12—13 na 1000 żywo urodzonych, będzie to naszym bardzo dużym sukcesem. Poprawa stanu zdrowia ludności zależy od służby zdrowia tylko w około 30 proc., pozostałe 70 proc. uzależnione jest od innych czynników, jak stan higieniczny społeczeństwa, czystość środowiska, odpowiednia woda do picia, higiena żywności, struktura żywienia społeczeństwa i inne, na które służba zdrowia niestety nie ma wpływu. Decydują tutaj producenci, przemysł, technika, gospodarka, kultura. Jeśli natomiast chodzi o samą służbę zdrowia, to trzeba uwzględnić przynajmniej dwie kwestie. Pierwsza to kadry Fachowych kadr, szczególnie lekarzy medycyny, stomatologów, farmaceutów i pielęgniarek, mamy dostatecznie dużo, także i jakość ich jest dobra, choć szwankuje rozmieszczenie. Trudniejszy natomiast problem to ilość łóżek w szpitalach, nad-wyraz skromna. Należy tu do najuboższych kra-



Fot. Arkadiusz Karoń

jów w Europie. Nowe, obecnie budowane szpitale nie zapewniają podwyższenia tego wskaźnika ponieważ jednocześnie starzeją się dotychczasowe obiekty, których około 50 proc. pochodzi jeszcze sprzed drugiej wojny światowej. Te „zabytki” należy eliminować.

— Co pan sądzi o organizacji polskiej służby zdrowia?

— Od roku 1973 podstawowymi zakładami, sprawującymi kompleksową opiekę zdrowotną na terenie całej Polski, są zespoły opieki zdrowotnej. Powstały one w wyniku połączenia szpitali powiatowych, przychodni obwodowych i powiatowych stacji pomocy doraźnej. Doświadczenie ponad 10-letniego istnienia ZOZ-ów wykazało, że spełniają one dobrze swoją rolę. Ostatnio obowiązujące u nas przepisy umożliwiają reorganizację służby zdrowia a mimo to w kraju nie wpłynął ani jeden wniosek postulujący rozwiązanie ZOZ-ów. Uznać więc należy, że opieka zdrowotna w tak zwanej „Polsce powiatowej” jest zorganizowana prawidłowo. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa na poziomie wojewódzkim. Od roku 1973 zaczęły powstawać wojewódzkie szpitale zespołowe, łączące zarówno specjalistyczną opiekę stacjonarną i ambulatoriową a w przypadku większości województw także pomoc doraźną, tak również cały pion działalności metodyczno-organizacyjnej która obecnie w niektórych województwach została wyłączona i funkcjonuje w postaci wojewódzkich zespołów metodycznych opieki zdrowotnej i pomocy społecznej. Tutaj trzeba wprowadzić większy ład a może nawet zmiany.

Dokończenie na str. 11

kamera

3



Od Cassino do Bolonii

- 2 -

Polacy i Włosi

Feliks Kępa

BYŁO nas w 111 Kompanii Ochrony Mostów dwudziestu Polaków. Osiemnastu stanowiło obsadę kadrową oddziału — od dowódcy kompanii po dowódców poszczególnych drużyn — pozostali dwaj pełnili funkcje pocztowych osobistych. Wszyscy, z wyjątkiem ppor. Zalewskiego, pochodziliśmy z 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Ppor. Edward Jan Zalewski, mój zastępca, odkomenderowany został z Ośrodka Zapasowego 2 Korpusu.

Była to kadra stanowiąca dość przypadkowy zlepek ludzi z różnych jednostek bojowych oraz około półtorej setki Włochów. My, Polacy, prawie nie znaliśmy języka włoskiego. Włosi nie znali polskiego zupełnie. Niektórzy z nich, co prawda, dość szybko opanowali tak zwane brzydkie wyrazy i przeklinać starali się głównie po polsku; „cholera” — wychodziło im jako „kolera”. Ale cóż, trudności lingwistyczne nie mogły zwolnić nas od szkolenia bojowego tych ludzi — rozkaz do rozkazu!

Prawie wszyscy Polacy byli żołnierzami, których z takich czy innych względów pozbyto się z oddziałów. Gdy przyszło zapotrzebowanie na oficera, podchorążego czy podoficera do tworzącego się w Roccascurie jakiegoś tajemniczego, bliżej nieokreślonego oddziału, dowódcy batalionów czy kompanii zaczęli oczywiście szukać w pamięci przede wszystkim nazwisk osobników, z którymi mieli „na pieńku”. Zdarzyła się oto okazja do pozbycia się kogoś, kto zadarł z przelozonym, „podpadł”, kto się kiedyś „postawił”, kto nieumiejętnie trząskał kopytami; a więc — elementu „buntowniczego”, zbyt „głośnego”, niezbyt pokornego w „myślach i sercach swoich”.

Szybko zorientowałem się, że mam do czynienia z ludźmi wartościowymi, choć niełatwymi do prowadzenia. Należeli do kategorii tzw. pyskaczy, głośno krytykujących, myślących samodzielnie i niełatwo poddających się dyscyplinie wojskowej. Sprawy, które

uwawali za głupie i sprzeczne z ich osobistymi poglądami, śmiało przedstawiali swoim „wodzom”. Każdy z nas na pewno kiedyś w służbie wojskowej zetknął się z różnymi dziwactwami czy niemądrymi postępkami swoich przełożonych, które jeśli nie głośno, to w duszy krytykował, a nieraz z nich kpil. Czy nie spotykaliśmy takich panów, którym posiadana władza uderzała do mózgu jak woda sodowa, wzmocniona alkoholem?!

Spotkanie się teraz w jednym oddziale, w naszej kompanii, tych wszystkich „pyskaczy” było dla nich swobodnym przeżyciem, które skądinąd niejednemu zmusiło do myślenia i do zrobienia pewnego rachunku sumienia.

Był to w sumie element zdrowy, młody, fizycznie silny, samodzielny, z dużą inicjatywą własną, o wrodzonej zaradności i sprycie. Na polu walki — jak się miało okazać — odpowiedzialny i ogólnie bardzo odważny. W niektórych wypadkach — odważny ponad przeciętność, często nawet ryzykancki, szukający mocnej przygody, wrażeń i emocji. Poza dwoma przypadkami na wskroś tchórzliwych, w tym jeden chorobliwie tchórzliwy, i to w dodatku podchorąży — reszta spełniała swoje żołnierskie obowiązki w stu procentach, świecąc wręcz przykładem w trudnych sytuacjach bojowych.

Należąc sam do kategorii ludzi „niepokornych”, poczułem się z miejsca między swoimi... Wspólna wymiana myśli i poglądów zaraz podczas naszego pierwszego spotkania, wygadanie się do syta dały bardzo dobre wyniki: byliśmy zgodni — a nie skłóceni.

Pierwszy tydzień służby w 111 Kompanii Ochrony Mostów upłynął na doradczym szkoleniu, organizowaniu „nowego wojska”, no i oczywiście „docieraniu” się polskiej kadry. Ramowy program szkolenia, nakreślony przez mjr. Andrzeja Racięskiego (który na przełomie lutego i marca 1944 r. rozpoczął organizowanie oddziału), został przede mną szczegółowo ropracowany. Czasu na doprowadzenie kompanii do pełnej gotowości bojowej mieliśmy bardzo niewiele, a w dodatku na początku wydawało nam się chwilami, że to, co robimy, jest beznadziejną, syzyfową pracą. My nie rozumiemy Włochów, oni nie pojmują nas — naszych komend i objaśnień...

Ku obopólnemu zaskoczeniu szkolenie zaczęło wkrótce iść lepiej i szybciej, niż spodziewaliśmy się tego w najśmielszych marzeniach. Naukę o broni nasi instruktorzy prowadzili na migi, a potem przejęli ją sami Włosi. Jeżeli chodzi o wyszkolenie bojowe, to polscy oficerowie i podoficerowie wykonywali najpierw sami dane ćwiczenie przed frontem pododdziału, a potem kazali je powtarzać ochotnikom włoskim dopóty, aż obydwie strony dorozumiały się ostatecznie, o co chodzi Polakom. Powiedzenie: „chcieć to móc!” znalazło tutaj w pełni swoje zastosowanie.

W tej żmudnej i naprawdę bardzo trudnej pracy wyszkoleniowej narodziła się autentyczna więź i przyjaźń między polskimi i włoskimi żołnierzami. Mimo dość surowej dyscypliny było miejsce na zrozumienie wobec podkomendnych, na pomoc w rozwiązywaniu ich osobistych kłopotów, choć mówiono do siebie dwoma tak bardzo różniącymi się językami. Nie odczuwano się w kompanii drylu wojsko-

wego, a dystans między władzą i podwładnymi był właściwie znikomy. Wytworzyła się atmosfera koleżeńskości, serdeczności i troski jednych o drugich. Później, podczas akcji bojowych, te cechy zaznaczyły się jeszcze



Feliks Kępa w 1945 r.
Repr. Arkadiusz Karoń

silniej. Na przykład zabitego nigdy nie pozostawiano na polu bitwy, choćby dla nas najbardziej niepomysłnej; w czasie nieudanego wypadu na S. Andrea di Suaza poległego Polaka zabrali Włosi, a poległych dwóch Włochów dźwigali na plecach Polacy i Jugosłowianie. Poległym „organizowano” piękne trumny, niejednokrotnie pokryte wiązkami kwiatów, jakby nie było wojny, tylko normalne czasy pokojowe.

Codziennie więc u nas, w małym górskim miasteczku Roccascura, zapadłym głęboko w ośnieżonych a potem coraz bardziej zieniejących Abruzzach, wrzało — dosłownie wrzało! Wyszkołenie pojedyncze, grupowe; umiejętność zachowania się w terenie i jego wykorzystanie na polu rzeczywistej walki... Ćwiczenia — służba czujek, obserwatora, gońca, szperacza, małego patrolu, zasadzki czy wypadu lub trwania w okopie. Ostre strzelanie, użycie granatów i materiałów wybuchowych. A wszystko to — w trudnych, górskich warunkach terenowych, nierzadko wśród śnieżnej zamięci, a później w potokach rześkiego wiosennego deszczu. Każdy żołnierz znajomość broni musiał mieć doprowadzoną do absolutnej perfekcji. Z zawiązanymi oczyma potrafił rozłożyć i złożyć angielski maszynowy Bren, Thompsona czy włoską Berettę. Umiał strzelać celnie w biegu i spod pachy.

Po siedmiu tygodniach takiego intensywnego szkolenia byliśmy właściwie już gotowi do rzeczywistych działań bojowych. Trzeba pamiętać, że doświadczenie bojowe posiadała nie tylko polska kadra, ale i dla Włochów wojsko i wojna nie były pierwszą. Mieli za sobą dawniejsze przeszkolenie w armii włoskiej, a wielu z nich brało także czynny udział w trudnych zmaganiach na polach bitewnych. Cudów więc

tutaj żadnych nie było, raczej normalny, wyszkoleniowy bieg „życia człowieka pocziwego” w strefie przyfrontowej podczas wojny.

Gotowa do wyruszenia na front 111 Kompania Ochrony Mostów składała się z trzech plutonów każdy po trzy drużyny (pierwsza — saperko-szturmowa, druga — szturmowa, trzecia — wsparcia) oraz pocztów — gospodarczego i bojowego — dowódcy kompanii. Nie posiadała przewidzianego etapu patrolu sanitarnego; korzystano z obsługi sanitarnej oddziałów, z którymi kompania ściśle współpracowała (polskiej i Samodzielnej Kompanii Commando, a następnie Pułku Ułanów Karpackich). Nie otrzymaliśmy też sprzętu łączności radiowej; korzystaliśmy z sieci łączności obserwatorów artyleryjskich, przydzielanych zwykle do kompanii, lub ze środków łączności Pułku Ułanów Karpackich.

Kompanią dowodziłem ja w randze porucznika, zastępcą był wspomniany ppor. Edward Jan Zalewski. Szef kompanii — sierżant Stramezewski, podoficer gospodarczy — kapral Gruszeki. Dowódcą pocztu bojowego dowódcy kompanii był kapral podchorąży Władysław Schmidt. Pierwszym plutonem dowodził ppor. Tadeusz Zontek (zastępca dowódcy: kpr. pchor. Tadeusz Kowalewski), na czele plutonu drugiego stał plut. pchor. Adam Hodur (zastępca: plut. Aleksander Ziotecki), na czele plutonu trzeciego — wachmistrz Hieronim Gruszczyński (zastępca: kpr. pchor. Zbigniew Wierzbicki). Drużynami dowodzili: pierwszą — kapral saper Makymilian Gabara, drugą — kapral podchorąży Dubois, trzecią — kapral Tadeusz Jankowski, czwartą — kapral podchorąży saper Przybyszewski, piątą — Włoch, kapral Mario Lorenzo, szóstą — strzelec z cenzusem Zbigniew Piątkiewicz, siódmą — kapral saper Jan Kulesza, ósmą — Włoch, kapral Gino Capotosto, i wreszcie drużyną dziewiątą — starszy ulan podchorąży Zbigniew Kurał. Pierwszym obserwatorem dowódcy kompanii był włoski ochotnik Emilio Miranda, drugim obserwatorem — Dante di Clemente. Zastępcą dowódcy siódmej drużyny, saperko-szturmowej, był kapral Brunetti, a celowniczym lekkiego karabinu maszynowego Bren, w tejże drużynie, ochotnik włoski — Caruso.

Nazwiska innych ochotników włoskich, z którymi stykałem się na co dzień (podoficera broni, zastępców dowódców drużyn, kierowców, kucharzy, celowniczych i amunicyjnych Brenów i Piatów, gońców, saperów i strzelców wyborowych), rysują mi się tylko mgliście, choć pamiętam wyraźnie twarze i sylwetki wielu z nich. A także sytuacje, w których z nimi rozmawiałem, gdy wydawałem im rozkazy lub gdy żegnałem ich po raz ostatni, składanych na zawsze w ziemi włoskiej, ziemi, na której się urodził i wyrosł. Lecz od tamtych czasów minęło lat z górą czterdzieści, i wiatr codziennych zdarzeń wygładza ostrość pamięci, i atrament wyblakł, gdzieś leżąc, na kartkach wojennego notatnika.

(cdn.)

Do druku przygotował:
Miroslaw Derecki

Zanotowane w Chicago

Kazimierz Wielki w USA

Marta Denys

WZYCIU monarcha ten nie podróżował dalej niż na Węry i Ruś Halicko-Włodzimierską. I to najczęściej „służbowo” — w ramach wizyt monarszych i wypraw wojennych. Sześć wieków później przyszło mu „wyemigrować” wraz ze swoją legendarną Esterką za Ocean. Really? Jak najbardziej! Ten piękny obraz, bo o nim mowa, zanim stał się cenną pamiątką w domu dr. Jerzego i Ireny Galeckich w Chicago, miał swoje niezwykle dzieje.

Namalowany został w 1865 roku przez Josepha Fluggena — ucznia Pilotiego. Trudno jednakże dociec, dlaczego akuratnie ta historyczna para zaparowała zachodnioeuropejskiego malarza? Poza wzmianką w kronikach Długosza i lokalna legenda w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą, Łobzowie i Opcznie, sława królewskiej kochanki nie była roz-

legła, a istnienie Esterki przy królewskim boku do dziś stawiane jest pod znakiem zapytania. Aliści wyobraźnię twórcza nie zawsze wspierać muszą dokumenty historyczne. Może temat „Kazimierz Wielki z Esterką” — scena altanowa — namalowany był na czynie specjalne życzenie? Why not?

Plótno to przez wiele lat było własnością Janusza hrabiego Potockiego z Krakowa. W 1946 roku hrabia pan ciężko zachorzał. Potrzebna była pilnie penicylina i cytryny. Zdjety został wtedy ze ściany salonu „Kazimierz Wielki z Esterką” i oddany handlarzowi za poszukiwany lek. Hrabia wyzdrowiał, ale po obrazie słuch zaginał. Dopiero w latach 50-tych plótno to, w stanie całkowitego prawie zniszczenia, nabyte zostało przez prywatnego kolekcjonera sztuki, by wraz z nim opuścić Kraków, a może inne miasto, i powędrować do Chicago. Tu zostało odkryte przez prof. Bogdanę Marconiego przy okazji odbywającej się wówczas w chicagowskim Art Institut wielkiej wystawy milenijnej. Okazało się też, że w latach powojennych obraz Fluggena poszukiwany był przez Muzeum Narodowe, lecz bezskutecznie.

Ciekawe jest także i to, że istnieje drugi, identyczny w temacie, obraz pędzla Maurycyego Gottlieba, namalowany w 1877 roku w Wiedniu. Ma-

larz, choć zmarły w 23 roku życia, zdołał zachwyć publiczność swoimi obrazami i portretami nawiązującymi do dzieł i kolorytu Wschodu oraz znanych z literatury postaci żydowskich: Ahaswera, Józefa i Putyfary, Sulamitki, Shylocka i Jesiki, no i tajemniczej nieco, królewskiej kochanki — Esterki.

Obraz Gottlieba znajduje się ponoć w zbiorach leningradzkiego Ermitażu. Dzieło zaś Josepha Fluggena w Chicago. Zwraca ono uwagę każdego kto odwiedza dom państwa Galeckich. Jedni pytają o przedstawione osoby, inni o cenę obrazu. „Not to be sold” — zda się odpowiadać Kazimierz Wielki i z troską w oku i gestie otula wsparcia o jego królewskie ramie Esterkę puszystym blamem. Miękką, pasową materią opina wnętrze altany. Esterka odwraca kartę wielkiej księgi. Obok cytra i róża. „Ach, jakie te romantyczne” — wzdychają amerykańskie ladies, a bywa, że i gentlemen.

Cóż, wszystko mogli królowie, jak śpiewa Alla Pugaczowa, lecz żenić się z miłością? Nie dane to było nawet Kazimierzowi Wielkiemu. A tak już na marginesie, to „owocem” tego legendarnego po części romansu z Esterką byli dwaj synowie — Niemierza i Pelka. Pierwszy — według Długosza — zabity został w Koprzywnicy w nader niezwykłych okolicznościach. Otóż w czasie jakiegoś uroczystego pogrzebu wybuchł w tym miasteczku spór o... podwoły, i gdzieś w tym ferworze ofiara padł królewski syn, z nieprawego łoża zresztą. Drugi — Pelka — zemrzeć miał przedwcześnie. Ze związku Kazimierza z Esterką były także i córki. Kroniki jednakże na temat ich dalszych losów milczą.

Karczmy rzymskie

Cześć, pełniśmy jak miechy

Dariusz Słapek

WIELKIM przełomem w dziejach ludzkości było wykonanie pierwszych prymitywnych narzędzi, nie mniejszą rewolucją stało się przejście do osiadłego trybu życia i związanej z tym uprawy ziemi, doniosłą rolę odegrało wynalezienie koła, pisma, pieniądza itp. O jednoznacznie pozytywnym charakterze tych faktów nie ma nawet co dyskutować. Rzadziej natomiast zauważa się, jak istotną cezurą w dziejach ludzkości był moment, w którym człowiek przestał traktować owoce winogron jako dodatek do posiłków, swoisty deser, i zaczął słodki, aromatyczny sok tych owoców gromadzić w rozmaitych zbiornikach, by po odpowiednio długim przechowywaniu dealektować się lekko musującym, delikatnym, drażniącym nieco podniebienie napojem, czyli WINEM!

Być może gromy spadną na tego kto powie, że dzięki winu ludzkość zrobiła ogromny krok naprzód. Któż jednak zaprzeczy, że od chwili „wynalezienia” wina żyło się człowiekowi jakby lepiej, rozkoszniej, a już na pewno weseliej... Kto wie, czy Lidyjczycy bądź Fenicjanie nie wymyślili brzęczącej monety, sącząc ów napój? A może wynalazca koła też był wietnym amatorem win?

Kończąc jednak z żartami, stwierdzić wypada, że wino odgrywało w świecie antycznym nieco inną rolę niż współcześnie, szczególnie w Polsce. Starożytność, owszem, znała pijaków, ale problem alkoholizmu był jej obcy. Za dowód niech posłuży fakt,

ich do coraz częstszego przebywania poza domem, kiedy wino stało się towarem, produktem stosunkowo szeroko dostępnym i tanim.

Starożytność rzymska znała wiele mieśc, w których można było wesoło zabawić się przy kielichu aromatycznego napoju. „Popinae”, „cauponiae”, „tabernae” — to rzymskie szynki, winiarnie i gospody. Różniły się one mogły nieco wyglądem, wachlarzem oferowanych usług, komfortem wyposażenia. Łączyło je to, że zawsze serwowano w nich wino. Inną cechą tych przybytków był rodzaj przyjmowanej klienteli. Wielkich tego świata, choć nie wszystkich, odstręczał od szynków i zajazdów nie tylko niski komfort, ale głównie fakt, że nie wypadało wznosić toastów w towarzystwie drobnych kupców, niższych urzędników, prostych żołnierzy, ostatnich artystów, wędrownych filozofów i egzaltowanych pielgrzymów.

Cycon, często podróżujący do swych włości na południu Italii, planował nawet wykupienie całego zajazdu w Terracynie. Nie chciał bowiem nadwerdzać gościnności w domach swych przyjaciół, a z drugiej strony dość miał natręctwa przygodnych znajomych w przydrożnych gospodach. Neron rozwiązał sprawę prościej. Podróżował w asyście tysiąca dobrze zaopatrzonych powozów i żaden zajazd nie był mu potrzebny. Przybyła do Rzymu delegacja mieszkańców Rodos poczytała sobie za obowiązek przysłać jej mieszkanie nie w przydzielonej przez senat wygodnej stajni, a w opłakanym z własnej kiesy „pospoli-

zwolić na lepsze gatunki. Wywoływało to zrozumi-
maie i...
za...
w...
Niezależnie jednak od apozowanych gatunków
wina mieszano je z wodą. Niestosujących się do tych
zasad uważano za prostaków i pijaków. Kto wie
jednak, czy klienci oberż przejmowali się tym bar-
dzo, skoro wina nagminnie fałszowano, dolewając
wody już w piwnicach i stajadach.

O przebiegu i atmosferze pijskich spotkań naj-
lepiej informują napisy na ścianach szynków, na
pucharach, kubkach i kielichach. Wino pozwalało
zapomnieć o troskach i kłopotach: „Si quisquis bi-
bit, cetera turba est” („Gdy się pije, reszta fra-
szka”). Toasty wznoszono dość często: „Bene tibi,
vivas! Bibe vivas multis annis!” („Szczęścia, żyj
Pij i żyj drugie lata!”). Wesoła kompania zęgnęła
się słowami: „Avete, utres sumus” („Cześć pełni-
śmy jak miechy”). Efekty tego typu spotkań by-
wały różne, rzadko jednak wesołe. Marcjalis drwił
z Szyszka, który w szynkach przepuścił miliony.
Płiniusz zaś ostrzegał, że nawet po najlepszym winie
następnego dnia głowa boli sześć godzin. Naj-
bardziej obrazowo epilog podobnych uczt przedsta-
wił Cycon: „Na tym tedy kończyły się te ucztę,
że jednego na rękach jak z placu bitwy wynoszone,
drugiego jak zabitego zostawiano, inni bez zmy-
słów i bez przytomności leżeli; tak, iż każdy, kto
na to patrzył, myślał, że to nie była ucztę pretora,
ale bitwa pod Kannami przez hultajów stoczona”.

Seneka nie bez powodu pisał, że siedzibą i wylę-
garnią rozkoszy, w najgorszym tego słowa znacze-
niu, były spelunki rozpusty i gospody. Częstoż
szynki pełniły rolę salonów hazardowych i lupan-
arni. W barze Asseliny w Pompejach keinerkami
usługującym nie tylko przy stołach były: Azjatka
ze Smyrny, Greczynka Aegle i Żydówka Maria. W
gospodzie Hermesa zabawiała gości, powabna po-
noć, Palmira. Inny z właścicieli, nie kryjąc się za-
pełnie z charakterem swego lokalu, wymalował na
szyldzie puchar umieszczony między dwoma fal-
luszami. Na ścianach gospód często znajdowały się
reklamy prostytutek, imiona stręczycieli, pieprzne
epigramy Katullusa i Marcjalisa, który w niczym
nie oszczędzał sprzedawczyń kobiet:

Lysas, rudaś, bez oka; całować cię w usta
Słodką, przeciw naturze byłaby rozpusta.
Duża liczba szynków (na głównej ulicy Pompe-
jów było ich około dwudziestu), ciągle rosnąca kon-
kurencja zmuszały właścicieli lokali do odpowied-
niej akcji reklamowej. Przed budynkami zwie-
szano kolorowe, przyciągające oko szyldy: „Pod
Słoniem”, „Pod Kogutem”, „Pod Apollinem” itp.
Starano się także niszczyć konkurencję bardziej
atrakcyjnymi cenami: „Pije się tu za jednego asa,
jeśli dasz dwa asy, napijesz się lepszego wina”. Za-
chował się ciekawy napis przedstawiający rozmo-
wę karczmarki z klientem na temat należnego ra-
chunku:

Karczmarka: „Jeden sextarius [0,55 l] wina, chleb — 1
as; mięso — 2 asy”. Gość: „Dobrze”. Karczmarka: „Dziw-
czyzna — 3 asów”. Gość: „To także w porządku”. Karcz-
marka: „Siano dla muła — 2 asy”. Gość: „Ach ten muł
mnie zrujnuje”.

Na temat cen klienci zawsze wypowiadali się
sceptycznie:

Wino asów dwadzieścia, zboże cztery asy,
Pijanys czy objedzon — zawsze klepskie czasy.

Ściany szynków służyły nie tylko reklamie pań
lekkich obyczajów. Gospody, o czym należy wie-
dzieć i pamiętać, były ważnym miejscem propa-
gandy politycznej. Karczmarz Hermes jawnie przy-
znawał się, że w nadchodzących wyborach będzie
popierał niejakiego Popidiusza Sekundusa. Podob-
nie czyniła szynkarka Pherusa, która, ciesząc się
wśród swych gości dużą estymą, starała się także
wplywać na ich zapatrywania polityczne. Nie wszy-
stkimi kandydatom na urzędy reklama tego typu
służyła najlepiej. Juliusz Polibiusz kazał szybko
zacierać propagujące jego osobę hasła podpisane
przez prostytutkę Zmyrinę. Podobnie dywersyjny
charakter miał w tym przypadku podpis: „Wszy-
scy pijacy”.

Rozpusta, pijaństwo, burdy i bijatyki, hazard — całe to
zło poszło oczywiście na karb właścicieli szynków i zajaz-
dów. Zawód karczmarza uważany był za hańbiący. Doszło
nawet do tego, że edykt cesarski z 380 roku n.e. zabronił
szynkarzom służyć w elitarnych formacjach wojskowych.
Właściciele lokali obspytani byli epitetami typu: „Perfi-
dus” („Podstępny”), „Malignus” („Złostliwy”). O nieuczci-
wych karczmarzach pisał już Cycon. Generalnie zarzu-
cano im wykorzystywanie klientów, okradanie, współpra-
cę ze złodziejami i zbrojami, bał podejrzewano ich i o czary.
Nawet św. Augustyn przytaczał opowieść o tym, jak
pewna szynkarka z Italii zamieniła swych gości w muły.

Negatywne te opinie miały oczywiście pewne u-
zasadnienie, większość jednak właścicieli gospód
była ludźmi uczciwymi, wyróżniającymi się wszak
sprytem i swoistą żytką handlową. Nietrudno prze-
cież było narazić się, mającym pieczę nad wszelki-
mi miejscami publicznymi, edytlom i stracić in-
tratną koncesję. A że naprawdę była ona intratna,
świadczą słowa Horacego, który pisał, że mógł
podjąć przez karczmarzy „na starość im spokojne
zapewni wywezasy”.

Przedstawiony wyżej obraz rozpicianych Rzy-
mian, duszonych tawern, rozkrzyczanych winiarń
jest świadomie nieco przejawskawiony. Nie należy
na jego podstawie wyrabiać sobie ogólnego poglądu
na charakter spożycia wina w Rzymie. Wybrany
materiał źródłowy dotyczył przede wszystkim klie-
nteli karczmi i gospód. Jest to więc pokazanie zja-
wisk raczej marginalnych, pewnej patologii. Wypa-
da bowiem podkreślić, że w Rzymie, po wojnach
punickich, podboju Grecji i Azji, choć wino stano-
wiło najbardziej powszechny i popularny naóó,
jednak generalnie nigdy nie było traktowane jako
trunek i środek do notorycznego upijania się. Ro-
dzaj spożywanego potraw, no części także dość u-
ciążliwy klimat zmuszał niejako mieszkańców Ita-
lii do znożywania wina. Płiniusz — k...
lusa i Remusa nigdy jednak nie podbiłby podwoy
świata.



że termin „delirium tremens” nie wywodzi się by-
najmniej z łaciny klasycznej, a wódka to dopiero
wymysł „ascetycznego” średniowiecza. Znaleźiska
archeologiczne na obszarze świata śródziemnomor-
skiego dobitnie świadczą, że wino często mieszano
z wodą.

Uprawa winnej latorośli dała pracę i utrzyma-
nie niemałej liczbie ludzi (nie chodzi tu jedynie o
niewolników). W produkcję wina wprzęgnięta zo-
stała myśl techniczna, powstały specjalne maszyny
i urządzenia. O tym, jak wysoko cenił wypada tę
technikę, przekonuje fakt, że technologia produk-
cji wina w zasadzie nie uległa zmianie od staro-
żytności, a zrekonstruowane wyposażenie tłoczni,
odkopanej przez polską ekspedycję archeologiczną
w Mirmeki na Krymie, z pewnością i dziś dałoby
móc wspaniałych trunków z czarnomorskich wino-
gron. Wino było częstym przedmiotem eksportu i
importu. Rozwijał się więc handel, rozszerzały kon-
takty i horyzont geograficzny. Wszak niemieckie
„kaufen”, „Kaufman” (pośrednio także polskie
„kupować”, „kupiec”) wzięło swój początek od la-
cińskiego „caupo”, oznaczającego handlarza winem.
Wino bowiem było jednym z pierwszych towarów,
jakie za pośrednictwem rzymskich kupców trafiały
na ziemię germańską.

Nie będzie także błędem twierdzenie, że ów na-
pój przyczynił się do rozwoju... sztuki. Nie chodzi, oczy-
wiście, tylko o to, że twórcy-artyści szukali w winie na-
chalenia i weny twórczej. Przecież rzemiosło artystyczne
uwidocznilo swój kunszt we wspaniałych pucharach, cza-
rach, kielichach, kraterach. Rzymianie twierdzili, że im
puchar piękniejszy, tym bardziej smakuje pite z niego
wino. Ucztę, biesiadę, bardziej i mniej wystawne przy-
jęcia często były tematem bądź tłem dla wielu utwo-
rów literatury antycznej. Któż nie słyszał o „Uczcie” Pla-
tona „Uczcie Trymalchiona” Petroniusza, żeby wymienić
choćby utwory najważniejsze, a przecież pisali o biesia-
dach także Ksenofont, Atenajos, Plutarch, Horacy, Marcjali-
s, Juwenalis...

Końcowym ogniwem łańcucha przemian, wywoła-
nych odkryciem naturalnej fermentacji soku wino-
gron, były karczmy, zajazdy, oberż, szynki, winiarnie,
gospody. Pierwej jednak, nim poczęły one wy-
rastać niczym grzyby po deszczu przy głównych
ulicach i bramach miast i miasteczek, przy szlakach
handlowych, wino pijało oczywiście w domach.
Oderwanie zwyczaju pijania wina od pieleszy
domowych nastąpiło dopiero, kiedy ludzie zaczęli
więcej podróżować, kiedy życie publiczne amusało

tym domu zajazdnym”. Poważnemu obywatelowi, wysokiemu
urzędnikowi nie wypadało odwiedzać miejskich gospód
i winiarni.

Cycon z odrazą i obrzydzeniem pisał o konsulu,
niejakim Pizonie, który „zionął z cuchnącej gęby
swądem karczmemnym”. Nie był też dla Pizona kom-
plementem epitet: „Ty, konsul z ciemnej spelunki”.
Tenże Cycon gromił młodzież Hirejusza, wy-
rzucając mu, że w szynkach i knajpach w trakcie
ciągłych pijskich „głową i serce na lonie komedian-
tek utopił”. Marek Antoniusz co prawda bawił się
najczęściej we własnych apartamentach, ale z ra-
cji charakteru i poziomu tych hulank wielki mów-
ca nazywał je „karczmemnymi”. Żyjący na przełomie
I i II wieku n.e. wielki rzymski satyryk, Juwenalis,
ganił konsula Laterana, który nocą „na tych
parę głębszych lata do gospody”, gdzie wita go
„Cjane z butelką, podkasana”. Senatorzy i ekwicy
rzymscy, odwiedzając różne spelunki, ryzykowali
utrąć prestiżu, kompromitacją i wewnętrzną bani-
cją.

„Popinae” i „cauponiae” serwujące przede wszy-
stkim wino, były więc głównie odwiedzane przez
najpośledniejszą ludność. Nierzadko gośćmi bywali
tu niewolnicy i gladiatorzy. Juwenalis, dając wska-
zówki ludziom poszukującym niepoprawnego Late-
rana, pisał:

Znajdziesz go, leży z bandytą, tuż głowa przy głowie
Leży złodziej i żełarz, i jacyś zbiegowie,
Leży trumien fabrykant, kat i kapłan może...
Tam wszyscy przeka równi i nasirój wesoły,
Tam wspólne są szklance i toła i stoły.

Do tak daleko posuniętej egalitaryzacji doprowa-
dziło oczywiście wino. Rzymianie znali bardzo
wiele gatunków tego trunku, przynajmniej osiem-
dziesiąt. Rozpisywanie się o sposobach przyrządza-
nia specjalnych rodzajów win, z dodatkiem miodu,
mirry, żywicy, róż, fiołków, wpędziłyby nas tylko
w kompleksy. Dodać jednak wypada, że Rzymianie
cenili także wina owocowe, które, o dziwo, nikomu
wtedy nie szkodziły. W gospodach pijało oczywiście
najczęściej wina tanie, a co za tym idzie —
gorsze gatunkowo. Satyryk Marcjalis, współczesny
Juwenalisowi, twierdził, że dobrym trunkiem na-
leży się dealektować w domu, zaś „laterańskich po-
pluczyn można pić do woli w gospodzie”. Najpopu-
larniejsze wina w Pompejach z ironią nazywano
„Wilgocią Wezwawiusza”. Bogatsi mogli sobie po-

WYGLĄDA NA TO

wygląda na to
że chcemy prześcignąć
strzał światła
w szachownicę czas
jakby wszystko
można było sprzedać
albo kupić
za garstkę srebrnika
dokąd to
szlachetni tej planety
czyżby tylko po zapalki

NOWE SPOJRZENIE

wchodzisz do pokoju
jest pusty jak wyszczona butelka
dawne echa
rozlały się po ścianach
jak robactwo
natura ma to do siebie
że nie ginie
i wszystko jest użyteczne
nawet
samotność sznura
czy też
ironia każdej rady
wchodzisz do pokoju
i pytasz:
czy nie jest za późno
na odnowienie
piątej ściany
misji pokojowej
pytanie
nie jest retoryczne

życie i śmierć spotykają się we tnie
towarzystwa raczej
wspomnieliśmy i układnie
grzesznościowo i układnie
nie mają o co kruszyć kopii
ani wyzywać się
jak to niektórzy
na pojedynek
„Kruk krukowi oku
nie wykole”
zbierają przecież
na wspólną tacę

a te złe dni
które do dziś
tkwią w tobie
jak bóla zadra
najlepiej zabić
toporem krzyku
albo dostąpić
apogeum ciszy

krwią ciszę zapłodnić
to znaczy zamartwychwstać

ciszę krwią zmywać
to znaczy odchodzić

ZAPIS ROZTERKI

a dzień był rozmazany
musztardowy i kwaśny
kości już czują
nadhodzenie burzy

za oknem pustka
w pokoju gołota
i naczynia wszystkie
odeszły ze stołu
płaska jednostajność
skrada się
za progiem
pusta szklanka ciszy
nad nostalgia ręki
nie chce
w przeszłość odejść
wtedy na ścianach
osiadają wizje mistrzów
nawiedzonych
rozmytych w senności
a bezębny zegar klóci się
z godziną
o pierosześciu światu

KWIATY
O BARWIE KRWI

ziemia wymaga
naszej spowiedzi
winy kainowe zamienia
na kwiaty o barwie krwi
z jej ran rozjątrzonych
wyrasta oset przypomnienia
nie bujamy w obłokach
chodzimy po ziemi
oszukujemy własne myśli
bawimy się w kotka i w myszkę
zapominając o bólu
który rani ambicje

ziemia wymaga naszej
spowiedzi
pochylenia naszego
nad mrówką wędrującą
z wysiłkiem
nad kropelką wody
najcenniejszą perłą
wiszącą na blaszce listka

DZIEWCZYNA Z BUKIETEM

Stanisława Mocek

KUPI słońce. Kroplisty ukrop wypłukuje z powietrza najmniejszy nawet wiaterek. Spoglądam w niebo. — Pamiętaj o kwiatach — mówiła matka. — Będę pamiętać.
— Róże, nie zapomnij!
— Nie zapomnę.

Patrzę z politowaniem na kwiaty. Im także ten upał daje się we znaki. Usiłuję wywołać z pamięci babciną twarz. Jednak obraz babci jest rozmazany. Między babcią a mną jest mgła tych lat, przez które jej nie widziałem. Cienie drzew przynoszą mi nieco ulgi. Dzięki im za to. A oto i strumyk. W cieniu nadrzecznej wierzy dostrzegam dziewczynę. Siedzi na brzegu, nogi ma zanurzone do kolan w wodzie.

— Zazdroszczę ci — mówię do niej.
Odwraca się nagle, jak ktoś mocno przestraszony. Po chwili uspokaja się.

— Nie ma czego — mówi. — Możesz zrobić to samo... Nie każę powtarzać sobie zaproszenia dwa razy. Kładę kwiaty i walizkę w ocienione miejsce, i wkrótce czuję pod stopami chłód.

— Przyjechałem do babci, na jej urodziny... Ona mieszka na tym wzgórzu... Widzisz, ten dom... Za tą złotą falą pszenicy?

— Jestem niewidoma...

Kamienieję na kilka długich chwil. Więc ja jestem dla niej ciemnością? Ciemnością, z której dochodzi głos? Tylko ciemnością? Wynurzam nogi z wody, która teraz stała się lodowata. Jak z przerebła.

— Tylko nie odchodzi — słyszę jej głos. — Nie odchodzi. Porozmawiajmy jeszcze.

— Oczywiście. Często tu przychodzisz?

— Bardzo często. A wiesz po co? Maluję sobie w ciemności okna, przez które wyglądam. Okna wychodzące na ogród... Na strumyk... Na wzgórze... A teraz okna wychodzące na ciebie. Dzięki nim jeszcze coś widzę. Widzę coś oprócz siebie samej, oprócz swoich oczu. Rozumiesz coś z tego?

Jestem zaskoczony pytaniem. Moje oczy biegają śladem skowronka. W niebo. Słyszę go. Tryska śpiewem. Teraz rozplątał się na tle błękitnych zwójów nieba.

— Tak — mówię mimo woli — Chyba tak. — A skowronek wciąż tryska fontanną śpiewu. — Tak — powtarzam — Rozumiem

Cień wierzy przesunął się trochę. Na pszeniczne włosy dziewczyny spadło słońce. Ściskam zębami źdźbło trawy. Tak jakby to miało mi pomóc. Pomóc? W czym? Przecież ja nie potrzebuję żadnej pomocy. Żadnej?

— A gdybym ci poprosił o uśmiech... — słowa te są pewnie jednakowym zaskoczeniem dla niej i dla mnie. A może się mylę? Może ona spodziewała się tego. Patrzę, patrzę i patrzę. Dziewczyna zwraca nagle ku mnie twarz jak słońce. Cieszę się. Prawie tak, jakby udało mi się zapobiec zawałeni stropów nieba, wyparowaniu wszelkiej wody, pęknięciu ziemi.

— Czy mogę cię prosić do tańca?
— Tu na łące?
— Tak, tu.
— A chcesz?
— Chcę.
— Dobrze.

Wkłada pantofle na ładne, brązowe stopy. Zaczynamy tańczyć. Z początku to może jest taniec. Ale potem... Wirujemy razem z ziemią, z niebem, ze wszystkimi pozostałymi. Zataczamy koła. Coraz szybciej i szybciej. Niebo podaje rękę strumykowi, wzgórze — drzewom drzewa — pszenicy. Niebo wpada do strumienia, drzewa szalone topią się w niebie. Staje mi w oczach matka.

— Pamiętaj o kwiatach — mówi.
— Będę pamiętać.
— Babcia uwielbia róże. Nie zapomnij.
— Nie zapomnę.

— Kup je, gdy tylko wysiądziesz z pociągu. Potem na Żytniej będziesz miał autobus do Przasnysza. Do Przasnysza!

— Wiem.
— I nie mów babci, że ostatnio nie domagam. Będzie się martwiła. Powiedz, że jestem zajęta. Albo coś takiego.

— Dobrze, mamo.
— Przywieź nam ze wsi zapach siana — słyszę jeszcze głos siostry
— Przywiozę.

Powoli wszystko wraca na swoje miejsce. Patrzę w oczy pszenicznowłosej dziewczyny. Są nieruchome. Odbijają niebo. Są wiernym lustrem.

— Lubisz kwiaty?
— Mhm...
— Na przykład róże.
— Uwielbiam róże. — Na jej twarzy pojawia się uśmiech. Patrzę na bukiet leżący w cieniu.
— Będziesz je miała.
— Teraz?

— Tak, teraz. — Biorę bez wahania róże i kładę na jej ręce.
— Róże?
— Róże.

Znow patrzę jej w oczy. Może właśnie w tej chwili zobaczyła mnie przez te swoje okna? Może już nie jestem ciemnością? Czy to możliwe? Ona śmieje się. Śmieje się.

— Pierwszy raz tutaj dostałam kwiaty.
— Pierwszy? Szkoda, że nie przechodziłem wtedy wcześniej.

— Pierwszy raz...
— Daję ci słowo, że nie ostatni. Ale teraz muszę już iść. Babcia pewnie się niecierpliwi. Jutro tu przyjdę, czeka.

— Będę.
Odchodzi powoli. Jestem już prawie na samym wzgórzu.

Moje oczy wracają na chwilę do dziewczyny. Stoi tam jeszcze. Dobrze ją widzę z daleka. Dziewczyna z bukietem.

PISZĄCY obecnie o Sienkiewiczach znajdują się w sytuacji uczonego z „Podróży Galiwera”. Może stworzyć, dajmy na to, traktat o stosunku Mistra do kołków lub dogrzebać się faktu, iż ów potknął się był raz na dworcu w Siedlcach w dżdżysty, jesienny poranek 1886, czy innego roku. Niezdolony do doktoratu, „magistraty” i habilitacji wysłał, co było do wyśmiania. A najwięcej wysłał czas. W gmatwianinie podejść i koncepcji opasano już po wielokroć kulę ziemską kartkami z jego powieści (ulubiona zabawa profesora Krzyżanowskiego), przeliczono dokładnie wszystkich samobójców, którzy po przeczytaniu tej czy owej książki (najchętniej „Quo Vadis”) odebrali sobie życie z okrzykiem: „Literatura nie ma już nic do zaoferowania!”, natworzono hipotez literaturoznawczych, tudzież historiozoficznych. Był Sienkiewicz-cowboy i Sienkiewicz-szlachetka, Sienkiewicz-wodzirej narodu, i jakiś czas w ogóle go w historii literatury nie było. Z tego całego rozwichrzenia emocji ostał się jeno do naszych czasów głosiciel staromodnych prawd, twórca bajkowych mitów dla malusińskich, prekursor komiksów, a dla co bardziej wtajemniczonych — nawet antypisarz. Co prawda kołaczą się jeszcze gdzieś po obrzeżach jakieś stowarzyszenia miłośników, czasem ktoś psa nazwie Bohun, ale generalnie pisarz pograżył się w mroku.

Z ważnego wżak powodu nie wypada go tam pozostawić. A powód ten wciąż jakby unikał powszechnemu postrzeganiu. (Cóż, przypomina już bowiem pamięciowy test z wyglądu stuzłotówki. Wszyscy wszystko wiedzą). Faktem dla mnie pierwszym jest, że Sienkiewicz, pośród innych prominentów naszej literatury, zawsze pro-

Co nowego?

**Rozmowa
z redaktorem
naczelnym
Oddziału KAW
w Lublinie
Grzegorzem
Protasiewiczem**

— Jako oddział Krajowej Agencji Wydawniczej — przekształcony z placówki Centralnej Agencji Fotograficznej — działacie już od dziesięciu lat, a od lat ośmiu prowadzicie coraz bardziej aktywne działalność wydawniczą; coraz częściej na półkach księgarskich można zobaczyć wasze wydawnictwa książkowe...

— Tak, to prawda. Nie chciałbym jednak, aby czytelnik wyniósł z naszej rozmowy wrażenie, że zrezygnowaliśmy z fotografii i innych form wydawniczych, a zajmujemy się wyłącznie wydawnictwami książkowymi. Wydajemy bardzo dużo plakatów, kolorowych kalendarzy ściennych oraz całą masę różnego rodzaju informatorów i broszur — na zamówienie wielu instytucji. Także — katalogi wystaw plastycznych i stałych ekspozycji muzealnych. W ciągu minionych dziesięciu lat wydaliśmy ponad 400 tytułów w tym 100 książek i broszur. W 1986 r. powinno ukazać się nakładem lubelskiego Oddziału KAW około 20 tytułów książkowych w łącznym nakładzie ponad 900 tysięcy egzemplarzy.

— Z przyjemnością muszę podkreślić wyróżniającą te wydawnictwa stronę plastyczną...

— To zasługa naszego kierownika artystycznego, znanego grafika Jerzego Kostki; jego własnych dokonań artystycznych, a także faktu, że potrafił

mieniował „normalnością”; dystans, z jakim wielu wyrobionych intelektualnie odnosi się do sienkiewiczowskiego „najkopsarstwa” — jest właściwie jego własnym dystansem. Miał on rzadką u pisarzy, zdolność panowania nad tekstem, kontroli rozwijanych motywów i bawił się przy tym doskonale. Widać to wyraźnie nie tylko w „Trylogii”, gdzie doprowadza sylwetki postaci czy sytuacje, w których się znajdują, na obrzeża absurdu, aby dopiero po chwili przywrócić im „normalny” wymiar, ale przede wszystkim widać

okazji kilku doskonałych pisarzy (Hemingway) w swej pogoni za Vonnegutem, winni pamiętać więc, że stary Mistrz wciąż jeszcze z ich pogardą ukradkiem się prześmiewa.

Podobno Sienkiewicz „przerabiał” historię według własnych zamysłów. Czynił tak i Szekspir, a później się okazało, że na przykład jego Ryszard II w świetle najnowszych badań jest bardziej historyczny od portretów skreślonych piórem naukowych zawo-
dowców. Przede wszystkim jednak pi-

psychoanalizy; wszystkim, tylko nie pisarzem. Na szczęście nasze czasy, znajdując idoli na innych płaszczyznach twórczego działania, zaczęły zdejmować z ramion literatury „wiodące” obciążenia.

A literatura, co by kto powiedział, to po prostu i przede wszystkim — sztuka słowa. Sztukę tę opanował był Sienkiewicz do perfekcji. Nikt przed nim ani po nim, nie pisał tak dobrze po polsku. To, rzecz jasna, trzymam ale nigdy nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że w muzyce, najbardziej synte-

literaturze, a że atakowała go albo pięściła zawsze jakaś poza, jest największym nieporozumieniem wartościowania literatury w Polsce.

Sienkiewicz wciąż krzepi, jeśli już nie serca, to z pewnością wiarę w piękno języka. A fakt, że jest to pierwszą powinnością literatury, pozostaje nadal bezsporny, choć uparcie spychany w literacką podświadomość.

Sienkiewicz to także twórca wyjątkowej w naszej literaturze powieści, której namiętnym admiratorem pozostawał Lew Tolstoj (czytał ją kilkakrotnie) i znaczna część elity intelektualnej ówczesnej Europy; powieści zapomnianej w hurraożycińskiej fascynacji historycznymi freskami. Ta powieść to „Bez dogmatu”. Z punktu widzenia wszystkich kryteriów wartościujących literaturę (nawet najbardziej współczesnych) jest to bezspornie najlepsza książka twórcy „Kryżaków”. Książka rzadko wznawiana, mało znana i w istocie przypadła dł: naszego narodowego dorobku intelektualnego. Pisząc ją, sam Sienkiewicz nie miał złudzeń co do jej pożyteczności: „Na wielką popularność tej powieści nie liczyłem nigdy. Powiedziałem sobie tylko: nie będę pisał szablonowej powieści, bo lepiej mi wcale nie pisać, niż pisać taką”.

I ją także warto byłoby z kurzu zapomnienia otrząść, nie tylko przy okazji jubileuszów czy wydań zbiorowych.

Najgłębszą prawdą pozostaje jednakowoż, że wielu tak bardzo nowoczesnych literatów winna jest Sienkiewiczowi choćby skromną notatką za wcale niemały zacytowany inspirujący. I bynajmniej Wańkowicz i jego „grupa” nie pozostają tu przykładem jedynym.

Sienkiewicz wciąż krzepi

Henryk Więclawski

ów dystans w listach, z których wyciera subtelny ironista, traktujący siebie i swoje pisanie jako pyszny dowcip. Jakżeż musiały go bawić te wszystkie bogoojczyźniane „ochy” i „achy”, a może nawet i mało jeszcze wówczas modne Nobel.

Wartość tego typu autoironii pozostaje bezcenna w każdym czasie, a u nas, Polaków, jest wręcz wyjątkowa. (Vide choćby ostatni konkurs TV na najgorzej ubranych mężczyzn w kraju i ukrzyżowane miny Gogolewskiego i Spółki, usiłujących z godnością powstrzymać cisnące się do oczu lzy „upokorzenia”). Walor to rzadko u Sienkiewicza podnoszony i wart, by wyciągnąć go z lamusa.

Zwolennicy superintelektu w literaturze, którzy zdążyli już zdeptać przy-

zarstwo z takiej postawy wyrosie starsze się o wiele wolniej. I cóż bowiem stało się z Zeromskim, wiecznym ideowym kontrabiegunem Sienkiewicza, z komputerową dokładnością liczącym wyrazy na stronie, byle się nie powtórzyły? Konia z rędem temu, kto w najbliższych latach znów go zaproponuje na maturalny temat. Dziś już owe spory o wierność kozackiego wizerunku mają tyle samo sensu, co słocho nad „jedwabnymi frędzlami rzesz kaziówny Heleny”. (Choć śladem tego sporu jest filmowanie „Trylogii” od tyłu, notabene nie doprowadzone jeszcze do końca). Mistrz Henryk wciąż ma się lepiej, i to nie tylko od twórcy „Popiołów”.

Z rozlicznych zadań, nakładanych na pisarza w tej czy owej epoce, jedno wciąż ulegało zatarciu, miał on być filozofem, historykiem, ideologiem,

tycznej ze sztuk, byłby on i pozostał Szopenem, Mozartem czy Bachem (z odpowiednim przewartościowaniem gatunkowym). Bez całej otoczki narzuconej literaturze, ostalby się nawet w dobie muzyki punk po prostu wielkim mistrzem, wciąż równie chętnie słuchanym i odtwarzanym. Nuty nie mają bowiem ideowych konotacji. Dźwięki budzą tylko odczuwanie.

I chętnie depeząc wzniosłe dyrdymały, zgodnie z każdą współczesną linią, sparafrazując słowa dobrego, starego pana Prusa, który w wielu sprawach z Sienkiewiczem się przecież nie zgadzał: „Gdyby on (Sienkiewicz) wziął na warsztat i opisał zwykłą cegłę i tak zrobiliby wielką literaturę”.

Brak jakiegokolwiek poży w jego pisarstwie to dla mnie unikat w naszej

zapewnić współpracę szeregu doskonałych grafików, i to nie tylko lubelskich.

— Co jeszcze pozostałoby pan na szali osiągnięć waszej placówki?

— Przede wszystkim chyba to, że w ciągu ostatnich lat „dopracowaliśmy się” skonsolidowanego zespołu, grupy ludzi mających doświadczenie wydawnicze. Zaznaczyli się wyraźnie określone kierunki działalności wydawniczej: literatura dziecięco-młodzieżowa, wydawnictwa krajoznawczo-turystyczne, społeczno-polityczne, no i albumy. Zaczynamy wydawać tzw. literaturę faktu, a między innymi reportaże, także naszych lubelskich dziennikarzy. Na marginesie dodam, że — z konieczności — robimy również dość dużo wydawnictw zleconych, o czym już panu zresztą przedtem wspomniałem...

— Co to znaczy: „z konieczności”?

— To znaczy, że nakład pracy jest nieproporcjonalny do uzyskanych efektów artystycznych i ekonomicznych. Działając przecież w określonym środowisku, musimy zabezpieczyć potrzeby propagandowe regionu (myślę tu m.in. o katalogach wystaw, folderach zespołów artystycznych itp.). Wydawanie pozycji potrzebnych ale mało rentownych z czysto ekonomicznego punktu widzenia, równoważymy wyważaniem równocześnie pozycji przynoszących duże efekty ekonomiczne.

— Wróćmy jednak do wydawnictw książkowych...

— Myślę, że możemy pochwalić się przede wszystkim wydaniem w ostatnich latach „Vademecum” Norwida, wyborem poezji Staffa Leśmiana i Tetmajera z tytułowanym „Ogród miłości”. „Kopczykiem szczęśliwej wiktorii wiedeńskiej” Adama Witulskiego (książki prezentującej listy króla Jana III Sobieskiego do Marysieńki z okresu wyprawy wiedeńskiej) W tym roku ukazała się książka monograficzna o Turgeniewie pióra dr. Jana Trochimiaka, lubelskiego literaturoznawcy badacza polsko-rosyjskich związków literackich. Jeśli zaś już jesteśmy przy dokonaniach najnowszych, to muszę wspomnieć o dwóch pozycjach z gatunku literatury dziecięco-młodzieżowej. Właśnie niedawno ukazały się na półkach księgarskich dwie książeczki: „Farfurka królowej Bony” Anny Swirszczynskiej z pięknymi kolorowymi ilustracjami Elżbiety Gaudzińskiej oraz „Gruby i inni” Ludwika Pezyńskiego — powieść o niezwykłych przygodach grupki harcerzy publikowana poprzednio w odcinkach na łamach „Kurier Lubelskiego”.

— Jakich jeszcze książek możemy spodziewać się w tym roku?

— Rozpoczynamy wydawanie wyborów z dzieł, dotyczących problematyki



Rys. Józef Tarłowski

społeczno-politycznej, polskich autorów z XIX i pierwszej połowy XX wieku; książek z reguły nie wznawianych po r. 1944; wszystkie będą opatrzone krytycznym wstępem lubelskich naukowców. W tym roku ukażą się dwa takie wybory: „O polskim charakterze narodowym” Juliana Ochrowicza i „Głos wolny, wolność ubezpieczający” Stanisława Leszczyńskiego. A z innych pozycji m.in. wybór starożytnych poezji miłosnej „Uciechy miłosne” przygotowany przez Marię Józefacką; „Sztukmistrz Twardowski i polscy iluzjonści” Marka Zdrojewskiego; monografia zielska — „Historie ziołowe” Mariana Janusza Kawalki oraz „Tak to widzę” Irosława Szymańskiego — zbiór jego tekstów z kabaretu „Łoza 44” i z programów „Spotkania z balladą”. Proszę zwrócić uwagę na fakt, że cztery ostatnie pozycje to książki lub opracowania autorów lubelskich. Zresztą na tym nie kończy się lista książek „lubelskich”: wydajemy w tym roku reportaże i powieści takich autorów jak: Zbigniew Miazga, Tadeusz Czajka, Ludwik Bronisz-Pikało i Zbigniew Kościński.

— Ciągłe tutaj wymieniamy osiągnięcia, to może teraz pomówimy trochę o kłopotach lubelskiego oddziału KAW?

— Zgoda. A więc po pierwsze: fatalna baza lokalowa. Po drugie: kłopoty z poligrafia. Czy pan wie, że nasza pozycja drukujemy w 8 (ośmiu!) zakładach poligraficznych w Polsce, od Lublina aż po Wrocław?!

— To już dalej wolać się...

Rozmawiał: M.D.

• Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki •

Miasto i łąka

KSIĄŻECZKA poetka Henryka J. Kozaka „Coraz cichsze lata” ma ściśle określony zakres tematyczny: wykorzenie z rodzimego środowiska wiejskiego i trudności adaptacyjne w środowisku miejskim. I tak to, co wiejskie, wydaje się poecie trwale, wartościowe i piękne. Szczególnie intensywnie przeżywa on wszelkie manifestacje przyrody, którą rzeczwiście zna i rozumie. Czuje się najlepiej, idąc wśród łąk, zanurzając się w lesie — tu jest u siebie. Natura przywraca mu harmonię, uczy zgody ze sobą i światem. Wrażliwość poetka Kozaka jest zrośnięta z naturą, w niej się poczyna i do niej odnosi. Poeta rozpoznaje świat przez odniesienie swych doświadczeń do natury, do tego, co wiejskie, czyli bliskie naturze. Wieś to dlań także wspomnienie dziecięcych, a później młodzieńczych doświadczeń społecznych, metafizycznych. Tu, gdzie „cicha podlaska wieś” dostrzga poeta mądrość, piękno. Natomiast tam, gdzie przyszło mu spędzić życie dojrzałe, w mieście, widzi zło, brzydotę. Oto jak pisze o mieście:

Ci wszyscy których
spotkałem [...]
alkoholicy i próżniacy
cwaniacy, złodzieje,
niezsześliwcy
nieodszli samobójcy
chorzy z rozpazcy
[...]
zrozumiałem
że zdarzyło mi się być
w piekle

Miasto jest tu piekłem. To wielka machina z betonu, szkła i żelaza — niszc-

ząca, okaleczająca ludzi. Miasto deprawuje, odbiera godność, pozbawia człowieka cech jednostkowych, nieporównywalnych. Żywiąc tak głębokie niechęci do wszystkiego, co miejskie, pragnie poeta powrotu w wiejską swojskość. Mówi o tym w tomiku nader często:

uciekaj dopóki nie jest za późno
ratuj siebie
a nocami
śnij ci się
tamta staroświecka miłość
tamte wigilie

W każdym niemal wierszu czuje się to silne, poetycko nośne, napięcie między utraconym rajem wiejskiej swojskości a „piekłem” miejskości. Tomik dzięki temu, choć nieodkrywający pod względem formalnym i tematycznym, jest godny czytelniczej uwagi Kozak jest wyraziście dość powszechnych w naszym kraju przeżyć ludzi, którzy, opuściwszy wieś, mają trudności z wrośnięciem w miasto. Szkoda jednak, że jego prezentacja konfliktu jest dość jednostronna idealizująca wieś, gdy tymczasem też sama wieś jest miejscem morderstw, pijaństw, samobójstw, nietolerancji, a czasem najwzkiejszej głupoty. Zabrakło w tomiku wierszy demitologizujących wieś i naturę, która, o ile wiem, nie tylko jest piękna, ale i okrutna.

Krzysztof Derdowski

Henryk J. Kozak, Coraz cichsze lata: Wydawnictwo Lubelskie, 1985.

Nowości Wydawnictwa Lubelskiego

- Wojciech Białasiewicz: „Afera Wisniana”. Str. 176, cena — 100 zł.
- Konrad Bielski: „Spotkania z Kazimierzem”. Str. 96, cena — 100 zł.
- Elżbieta Cichła-Czarnaławska: „Ucieczka łądów” — poezje. Str. 92, cena — 60 zł.
- Krzysztof Derdowski: „Czasowo nie ma wieczności” — poezje. Str. 43, cena — 60 zł.
- Tadeusz Karabowicz: „Zapamiętań” — poezje. Str. 48, cena — 60 zł.
- Ryszard Kornacki: „Puszka Pandory” — poezje. Str. 72, cena — 50 zł.
- Henryk Kozak: „Coraz cichsze lata” — poezje. Str. 80, cena — 60 zł.
- Henryk Kozak: „Kupię śmierć” — powieść kryminalna. Str. 172, cena — 130 zł.
- Jerzy Markiewicz: „Ryszard Szezygł”. Wiesław Śladkowski: „Dzieje Bilgoraja”. Str. 408, cena — 500 zł.
- Halina Sitarzka: „Za światłem oczu błęknę” — poezje. Str. 44, cena — 60 zł.
- Halina Wisniewska: „Renesansowe życie i dzieło Sebastiana Fabiana Klonowicza”. Str. 240, cena — 200 zł.
- „Złote ziarno” — Antologia współczesnej poezji ludowej ziemi zamojskiej. Str. 332, cena — 150 zł.
- „Jego siła nas urzekła...” Szkice i wspomnienia z dziejów lubelskiego Teatru. Str. 640, cena — 700 zł.

CHINEŃSKI FILM

Mirosław Derecki

CO my właściwie wiemy o kinie chińskim? Bardzo niewiele, prawie nic... Trudno się zresztą dziwić: od blisko dwudziestu pięciu lat ta kinematografia była zupełnie nieobecna na ekranach europejskich i zresztą nie tylko europejskich, płynąc swoim własnym, bardzo specyficznym nurtem, wyznaczanym przez przemiany polityczne i kolejne wstrząsy maoistowskiej „rewolucji kulturalnej”, których odgłosy dochodziły do nas — raz silniej, raz słabiej — zza Wielkiego Muru.

Po raz pierwszy polski widz spotkał się z filmami chińskimi na początku lat pięćdziesiątych. Oglądaliśmy wówczas prezentowane na festiwalu filmowym w Karłowicach Warach „Córki Chai” Ling Ce-funa i Ce-chunga, „Bohaterów i bohaterki” Shi Tung-shana czy też „Dziewczynę o białych włosach” Wang Pina i Shuej Chua — opowieści o bohaterskich zmaganiach ludowych partyzantów z wojskami kuomintangowskimi lub o walkach z japońskimi najeźdźcami. Nie były to obrazy o poziomie artystycznym godnym uwagi, a i scenariusze do nich pisano w sposób zdecydowanie szablonowy. Może największym powodzeniem wśród polskiej publiczności cieszyła się „Dziewczyna o białych włosach”, powstała w 1950 r. Kinematografia Chińskiej Republiki Ludowej stawiała dopiero wówczas pierwsze kroki, przedwojenny przemysł filmowy odbudowywano prawie od zera, w 1956 roku zrealizowano w Chinach zaledwie 36 filmów fabularnych (wobec 200 nakreconych w r. 1936). Kiedy wspomniane filmy nagle zniknęły z naszych ekranów, nie odczuliśmy, przynajmniej, ich braku. Pozostało tylko na całe lata określenie o pejoratywnym wydźwięku: „film chiński” (jak swego czasu: „czeski film”).

I oto nagle, w ciągu ostatnich dwóch — trzech lat, film chiński w dobitny sposób przypomniał światu o swoim istnieniu. Nie tylko za pośrednictwem pełnych dynamiki doskonale kreconych filmów kung-fu, realizowanych częstokroć wspólnie z wytwórcami z Hongkongu, ale także z uwagi na filmy artystyczne, sięga-

jące do tradycji i historii Chin, jak „Królowa Pawi” Zhu Jinnang lub pokazana w Cannes „Prawdziwa historia Ab Q” czy też „Wspomnienia ze starego Pekinu” Wu Yigonga — film bardzo poetycki, refleksyjny osadzony w realiach lat trzydziestych, nakrecony według powieści jednego z chińskich klasyków, Lin Haiyina.

W Polsce w ciągu niespełna trzech ostatnich lat weszło na ekrany około dziesięciu filmów chińskich, w tym m. in. cieszący się olbrzymim powodzeniem „Klasztor Shaolin” Chang Hsin Yena (wyprodukowany przez ChRL do spółki z Hongkongiem), „Tajemniczy Budda” Zhang Huaxuna czy idący właśnie na ekranach „Karatecy z kaniōnu Żółtej Rzeki” Li Qimina, nie wspominając już o dziełach o wysokich walorach artystycznych, jak „Piękna kurtyzana” Zhou Yu lub „Wspomnienia ze starego Pekinu”. Niedawno oglądaliśmy w telewizji czteroodcinkowy serial japońsko-chiński „Szary wilk — życie Czangis-chana” w reżyserii Azuma Morizaki i Ryuji Horada, oparty na powieści japońskiego pisarza Yasushi Inoue. Zaś w najbliższych miesiącach powinniśmy zobaczyć w kinach kolejne chińskie filmy kung-fu: „300 buddyjskich mnichów” i „Serce smoka”, obydwą w reżyserii Wang Kinlei. I jeszcze cały szereg innych filmów — historycznych, obyczajowych, sensacyjnych.

Nie wiedzieć kiedy kinematografia chińska wkroczyła na nasze ekrany i prawie niezauważalnie zdomowała się na nich w sposób zupełnie naturalny. Zawdzięczamy ten fenomen nie tylko tematyce proponowanej przez chińskie kino, ale także współczesnemu, nie odstającemu od światowych osiągnięć, językowi i jakimś posługującym się to kino. Jeszcze niecałe trzy lata temu polscy krytycy odkrywali, ku swemu zaskoczeniu (nie tylko oni, także krytycy z wielu innych krajów) nowy chiński film. Po powrocie z Chin, gdzie pojechał jako członek tzw. komisji kwalifikacyjnej dla zakupu filmów, Jerzy Schönborn pisał w jednym z lipcowych numerów „Filmu” z 1983 r. w artykule „Wschód nowego kina”: „Gdzie kolatały mi się

wspomnienia o „Dziewczynach o białych włosach”, o rozmaitych sfilmowanych operach, a także o utylizacyjnych agitkach. Przedsięwzięcie polegające na obejrzeniu sporej liczby filmów chińskich, wydawało się nie tylko niezbyt pożyteczne, ale przede wszystkim uciążliwe i nużące. A potem nagle było jak w bajce, kiedy ze szpetnej ropuchy wyłania się piękna królewna [...] Można (a nawet trzeba) powiedzieć że w tej chwili w Chinach rozwija się produkcja na dobrym, światowym poziomie, zarówno tematycznie, jak i warsztatowo. Dominuje film współczesny, realizowane są również filmy mówiące o Chinach pierwszej połowy XX wieku, filmy sensacyjno-rozrywkowe i wreszcie utwory wskrzeszające odległą tradycję i historię „państwa środka” [...] Może się to wydawać dziwne i nieprawdopodobne, ale tak po prostu jest”.

Pierwszym filmem chińskim, jaki obejrzelismy w Polsce po wielu latach przerwy, były prezentowane podczas „Konfrontacji 83” wymienione już „Wspomnienia ze starego Pekinu” Wu Yigonga ze wspaniałą zagraną przez kilkuletnią aktorkę Lin Yingzi rolę Shen Jie.

Odkrywamy współczesne kino chińskie, ale przy okazji dopiero teraz sięgamy do jego historii. Mało może obfitującej w dokonania artystyczne, ale jakże fascynującej, bo wtopionej w dzieje wielkich przemian, jakie zachodziły za Wielkim Murem od początku drugiego dziesięciolecia obecnego wieku. Pisze o tym prof. Jerzy Toeplitz w V tomie swej „Historii sztuki filmowej”, odwołując się zresztą do ustaleń Georges’a Sadoula w jego fundamentalnym dziele „Histoire generale du cinema”, opracowań Giuliano Bertuciollego, Rogera Bosnotta oraz książki znanego radzieckiego reżysera Siergieja Jutkiewicza pt. „W teatrach i kino swobodnego Kijaja” stanowiącej owoc podróży autora po Chinach na początku lat pięćdziesiątych.

Pierwsze kina powstały w Chinach na początku stulecia, zakładał je hiszpański przedsiębiorca Antonio Ramos. W latach 1906—1908 powstają także pierwsze, prymitywne, półamatorskie filmy chińskie. Kina działały zresztą w tym okresie tylko w niektórych, bardzo nielicznych miastach. Na całym olbrzymim obszarze tego kraju istniało zaledwie 10 kin, i tak było aż do roku 1914.

Obalenie cesarstwa, koniec wielowiekowego panowania dynastii mandżurskiej i ogłoszenie w 1913 roku Chin republiką, związane z tym niezwykle ożywienie życia kraju, także życia kulturalnego, w dziedzinie filmu zaowocowało powstaniem w Szanghaju wytwórni filmowej z prawdziwego zdarzenia, założonej przez Amerykanów i kilku przedsiębiorców chińskich — Asia Motion Picture Company. W 1920 r. wyprodukowano tutaj dwa pierwsze fabularne filmy długometrażowe — „Ojciec” i „Opadają kwiaty lotosu”. Szanghaj stał się głównym ośrodkiem chińskiego przemysłu filmowego, powstawały jak grzyby po deszczu kolejne wytwórnie filmowe, często kończące swój żywot na wyprodukowaniu jednego lub dwóch filmów. W 1928 r. 25 takich małych wytwórni zjednoczyły się w trust działający pod egidą najwię-

Z przeszłości Lublina

Książę Józef na Wesolej

ZKRONIK i dokumentów miasta nie wynika jasno, jakoby książę Józef Poniatowski miał jakąś ekstrarezydencję, tym bardziej przy ulicy Wesolej. Owszem, wspomina się o tej uliczce, nazywanej dawniej Nowozamojską, jako łączniku między ulicami Rusałką i Bernardyńska, a na przełomie wieków XIX i XX jako zachodniej granicy rekreacyjno-rozrywkowych terenów, zwanych „Rusałką”, a także przemysłowej dzielnicy miasta, nie wiążąc jednak Wesolej ze sławną postacią historyczną.

Alliści, w przekonaniu najstarszych mieszkańców tej ulicy, tutaj właśnie letnią porą rezydować miał książę Józef, polując na kaczkę. Legenda to czy fakt autentyczny?

Pójdźmy domniemanym śladem. Oto pięćbudynek przy ulicy Wesolej pod numerem 8. Z jednej strony czteropiętrowy budynek i sześciokolumnowy portyk tokański, dźwigający niewielki taras. Pod nim zejścia do sklepionych piwnic. Pomieszczenia na parterze sklepione również kolebkowo z lunetami. Ale jest i ostrołuczny przejazd i neogotycka elewacja przeciwnej strony budynku. Dworek to czy pałacyk? Biorąc pod uwagę dostojność domniemanego w nim niegdyś lokatora — pałacyk. Skromny metraż tej rezydencji rekompensować miał bogaty dość wystrój komnat i saloników. Choć, patrząc dzisiaj na mocno nadgryziony czasem i zniszczeniem budynek, nikajego w nim dostatku domyślić się nie można. Ostatnią wojnę przeżyły jednak piękne plafony malowane na płótnie. Może to właśnie na nie rządził spoglądać — w chwilę wytchnienia od spraw doniosłej wagi lub emocji polowania na wspomniane kaczkę — książę Józef? Plafony owe przedstawiały boginie i amorków w jakże smakowitym

— zgodnie ze stylem ówczesnej epoki — wyborze. A kiedy plafony te zdarto ze ścian w 40-tych latach naszego już stulecia — albowiem „opierały” się farbom mającej je doszczętnie zamalować — okazało się, że sygnowane one były na odwrocie — według relacji mieszkańców — inicjałami księcia Józefa!

Malowidła te wyrzucone zostały na śmietnik. Ślad po nich zaginął, ale nie pamięć. W jednym z pomieszczeń na parterze znajdował się ponoć miała kaplica. Czy odmawiał w niej książę Józef przed polowaniem trzy szybkie „Zdrowaśki”? Nie wiadomo. Według pań Migdalskich mieszkających tu dawniej, z kaplicy tej pozostał miał klecznik i witraż. Tak opowiadały te panie, i tak zapamiętały to ich sąsiadki. A zapamiętały pilnie, bowiem panie Migdalskie — nauczycielki, jak należy mniemać — były w sprawach historii autorytetem pewnym i przykładem. Otóż starszy pan Migdalski — Paweł, farmaceuta z Lubartowa — zwykł był chadzać po ulicy Wesolej w powstańczym mundurze z 1863 roku. Pięknie mu było w czapce, czamaree i sztylpach odziedziczonych po ojcu-powstańcu...

Co się zaś tyczy rzekomej „Poniatówki” przy ulicy Wesolej, to budynek ów wzniesiony został prawdopodobnie w XVII wieku. Przed 1639 rokiem należał do Katarzyny Molanickiej, a później do Wiktorii i Melchiora Mężyków. Był także własnością zakonni bernardynek, następnie aptekarza Pawła Węgrodzkiego i wójta lubelskiego — Jana Dobrogoszcza. W XVIII wieku, po przebudowie pałacyku-dworku, jego gospodarzami byli Szarwajowe i Makarewicz — znani w Lublinie właściciele okazałych kamienic na Starym Mieście, tudzież składów win; następnie Chmielewscy, Węgrorowie i Wareńscy. Lecz którzy to z nich udzielił letniej gościnie księciu Józefowi Poniatowskiemu?

Na przełomie XIX i XX wieku, aż po lata powojenne, listę właścicieli — naz-

wijmy to „Poniatówki” — uzupełniali jeszcze: Chmielewski, Antonina Janiszewska, od której wnuka, pana Wiesława Janiszewskiego, pochodzą pewne informacje na temat wyglądu owego budyńeczku, oraz Wyszyński, Mańkowsy, Dolecki. Obiekt remontowany był ostatnio coś ze 20 lat temu.

Po przeciwnej stronie ulicy Wesolej uwagę zwraca pawilon ogrodowy. On to właśnie służyć miał księciu Józefowi za... „ambonę”, z której mierzył do kaczek, albowiem łaki i nadbystrzyckie mokradła słygnęły z obfitości tego ptactwa. Czy to właśnie tutaj w tym pawilonie poświęcał się myśliwskiemu zajęciu książę Józef w chwilach wolnych od przepędzania Austriaków z Lublina? Historia o tym milczy. 14 maja 1809 roku książę Józef Poniatowski na czele swojego korpusu wkroczył do naszego miasta. Na rogatce Lubartowskiej jego ułani starli się z austriacką arcygardą. Wystawiono im za to później pomnik. Pobył księcia w Lublinie tak oto opisywał w swych „Pamiętnikach” Kajetan Koźmian: „Miasto i obywatele dali wielki bal dla wladz w domu na Korcach. Książę Józef zaszczylił go obecnością swoją, był uprzejmy, wesoły. [...] Nazajutrz wszyscy urzędnicy polscy i wielu obywateli udało się do kwatery księcia...”. No właśnie, do kwatery, ale jakiej i dokąd? Czy zatem owi „wszyscy urzędnicy i obywatele” pomieścić się mogli w rezydencji przy ulicy Wesolej — dawniej Nowozamojskiej?

Wiadomo, że książę Józef był w Lublinie także i w 1787 roku, towarzysząc królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu w ekspedycji do Kaniowa na Ukrainie. Dostojni podróżnicy zatrzymali się byli na jedną tylko noc w domu starosty Mniszcha na Tatarskich. Orszak liczył więcej niż 400 ekwipaży o 355 koniach, eskortowany przez 27 wojskowych, na koniach oczywiście. I nie było wtedy ponad wszelką wątpliwość czasu na polowanie. A więc kiedy?

Legenda jest, faktów brak. A rokokowy, murowany pawilon z II połowy XVIII wieku, kryty mansardowym hełmem, latany od lat na różne sposoby, podobierany komórkami, jest jeszcze ciągle zamieszkały, przez coraz to



Lublin. Ul. Wesola 3
Fot. Arkadiusz Karoń

zmieniających się lokatorów. Jak na razie, trudno wymyślić dlań inna niż obecna funkcję.

Dawno temu zarosła już agrestowa ścieżka, którą wspinać się miał książę Józef w górę, do bernardyńców. Wyszły błota i odleciały „księżęce” kaczkę i nikt już nie wie, skąd się wzięły w oficynie dawnego mlyna zakonnego renesansowe maskarony.

Na podwórku rzekomej księżęcej letniej rezydencji, nad stadkiem kur przesyła się dumnie kogut, wprawiając e swymi „ostrogami” w gładzący zachwył. Legenda uporczywie trwa. Kto nie wierzy, niechaj sojta. Mieszkańcy domu pod numerem 8 przy ulicy Wesolej są o jej prawdziwości niezłomie przekonani.

szej firmy — istniejącej od 1922 r. Star Motion Picture Company, a korzystającej z poparcia holliwoodzkiej Columbi. Przy Star Motion Picture Company była nawet szkoła aktorska.

Gdy w 1921 r. powstaje w Chinach, ciesząca się poparciem wielu intelektualistów i ludzi sztuki, Partia Komunistyczna, ma ten fakt odbicie także w sferach filmowych. W 1930 r. utworzona została firma United China Pictures; produkowane przez nią filmy mają ambicje artystyczne. Ich twórcy znają osiągnięcia światowej sztuki filmowej, na prywatnych pokazach ogląda się w tym środowisku dzieła wybitnych radzieckich reżyserów, takie jak m. in. „Pancerńk Potiomkin” Eisensteina. W filmach United China Pictures mocniej zaznacza się tendencje społeczne. Tutaj właśnie powstaje w 1934 r. słynny film Tsai Czu-wiana „Pieśń rybaków”, nagrodzony w 1935 r. na festiwalu filmowym w Moskwie. Jeden z tych niezliczonych filmów, które przed wojną trafiły na ekrany europejskie, dając znać o istnieniu chińskiej kinematografii. W 1936 r. zostaje założony Lewinow Związek Pracowników Filmu. W tymże roku rząd powołuje do życia aż dwie konkurencyjne wytwórnie United China Pictures wytwórnie — The China Motion Picture Corporation oraz Central Motion Picture Studio w Nankinie.

Wszystko to działo się w okresie, gdy Chiny znajdowały się w stanie wojny z Japonią albo w stanie zagrożenia wojennego. W 1931 r. nastąpiła pierwsza agresja japońska, a w r. 1937 następną wojenną konflikt japońsko-chiński. Zaś w łonie samego państwa rosły coraz bardziej w siłę oddziały frontu ludowego pod wodzą Mao Tse-tunga.

Krwawe walki z Japończykami, zacięta obrona Szanghaju i rzeź jego mieszkańców przez najeźdźców, znalazły swoje odbicie w licznych filmach chińskich reżyserów, którzy salwowali się ucieczką do Hankou, Czungeing, a wreszcie — do Hongkongu. Nakręcony w 1938 r. chiński „Wielki mur”, osadzony w realiach wojny japońsko-chińskiej, wywołał ogromne poruszenie wśród publiczności paryskiej. Ze swej strony Japończycy rozpoczęli pospieszną produkcję dywersyjnych filmów, starających się osłabić patriotyczne morale Chińczyków na zajętych przez najeźdźców terenach. W marionetkowym państwie Mandżukuo, na którego czele postawili byłego chińskiego cesarza Pu I, Japończycy doprowadzili do powstania wytwórni The Manchurian Motion Picture Association z atelier w Hsincingu (znanej też jako wytwórnia Manel), gdzie powstawały filmy projapońskie, dystrybuowane następnie na obszar Chin.

Inna sprawa, że te wszystkie zabiegi propagandowe Japończyków nie mogły dawać zbyt wielkich efektów, między innymi także z tego względu, że do 1945 r. w całym Chinach działo się więcej niż 300 kin Skądinąd Chiny walczące z Japończykami produkowały coraz mniej filmów ze względu na ogromne zniszczenia przemysłu filmowego, tak

że w końcu drugiej wojny światowej produkcja filmowa w Chinach zamarla zupełnie. Kinematografia Chińskiej Republiki Ludowej miała wywieść swój żywot oraz historię z działającej w północno-zachodnich Chinach, przy 8 Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, czołwki filmowej Niektóre z pierwszych filmów tego młodego kina mieliśmy możliwość ocenić na początku i w połowie lat pięćdziesiątych.

Pierwsze spotkanie z kinem chińskim po wieloletniej przerwie, po śmierci Mao Tse-tunga, zakończył „rewolucji kulturalnej” oraz obaleniu tzw. „bandy czworga” z panią Ciang Tsing na czele, odbyło się w styczniu 1978 r. w Paryżu. Z inicjatywy dystrybutora francuskiej Danielle Waserman wywieziono wówczas zestaw sześciu filmów produkcji ChRL (pięciu z lat 1961—1965 i jednego z r. 1974). Dowiedziano się przy tym, że w Chinach produkuje się 50 filmów rocznie, a w roku 1980 zamierza się podwoić tę liczbę, że za Wielkim Murem działa 130 tysięcy kin, w większości są to kina wiejskie; że codziennie na kinowej widowni zasiada 75 milionów widzów, a w ciągu roku jest ich około 25 miliardów. Były to liczby zaskakujące, rewelacyjne. Mniejszą rewelacją okazały się same filmy. Francuski krytyk filmowy Guy Hennebel w opublikowanej na łamach miesięcznika „Ecran 78” dyskusji ze znaną współczesnego kina chińskiego i jego historykiem (wielokrotnie odwiedzający Chiny, także w okresie ich zamknięcia się na świat), Régisem Bergeron, odniósł się w sposób bardzo krytyczny do prezentowanych dzieł filmowych, zarzucając im, wśród „10 grzechów kina chińskiego”, m. in. „zawężenie tematyki, ograniczenie do grupy konfliktów zawsze bezpośrednio politycznych i traktowanych w sposób bardzo prymitywny”, „zbyt wyekspozowany dydaktyzm”, fakt, że „bohaterowie występują jedynie w wymiarze polityczno-społecznym i nie mają żadnej autonomii ani życia osobistego i można prawie natychmiast przewidzieć wszystkie ich reakcje”, purytanizm, oraz to, że „w imię usilnego odchodzenia od naturalizmu przystają się i upiększa rzeczywistość”.

W sześć miesięcy po Paryżu, podczas dorocznego Przeglądu Nowego Kina w Pesaro, przedstawiono kolejny zestaw; składał się on tym razem z 20 chińskich filmów fabularnych i pięciu dokumentów. I znowu daleko było do rewelacji. Chociaż dowiedziano się znowu nieco więcej o kinie chińskim. I o jego kolejach w latach „rewolucji kulturalnej”; okazało się m. in., że w pewnym okresie pani Ciang Tsing dopuszczała do produkcji zaledwie siedem filmów rocznie. Były to głównie „oper filmowe”. Ze z ponad 800 filmów wyprodukowanych w ChRL po wojnie tylko 200 powstało w ciągu 11 lat trwania „rewolucji kulturalnej”. Dochodziło w tym okresie do takich paradoksów jak np. lansowana przez Ciang Tsing, małżonkę przewodniczącego Mao, „teoria trzech kontrastów”, „na mocy której — jak pisze Hennebel — wszystkie dzieła [filmowe] powinny posiadać wyraźny

podział na postacie pozytywne i negatywne, następnie między tymi pozytywnymi powinny istnieć postacie jeszcze bardziej pozytywne, a z kolei między tymi ostatnimi powinien znajdować się „bohater”. Innym pomysłem pani Ciang Tsing była teoria tzw. „dyktatury światła” w myśl której nie należało nigdy fotografować twarzy bohatera „pod światło”, co więcej — jego postać trzeba było ukazywać w zbliżeniach i to filmowaną z dołu, „podczas gdy spojrzenie z góry było zarezerwowane dla elementów negatywnych”.

Większość z podanych tutaj wiadomości przyniósł dzieliwy, wrzesniowy, numer polskiego miesięcznika „Kino” z 1978 r., zamieszczając m. in. w bloku materiałów „chińskich” obszerną korespondencję z Pesaro płaora Hanny Książek-Koniczkiej pt. „Pesaro 1978: film chiński”. W filmach wojennych — pisała autorka artykułu — bohaterzy żołnierze ludowej armii bez oznak żołnierskiego trudu i prawie bezkrawawo staczają jedną po drugiej decydujące bitwy, zaś Japończycy i kuomintangowcy dygocą ze strachu, a potem uciekają, porzucając góry rannych. Bez oznak zniechęcenia pokazywana jest też praca. Postacie negatywne są odróżniane od pozytywnych na pierwszy rzut oka. Zadania planu społecznego określone w kilku prostych hasłach wypełniają całe życie osobiste ludzi”.

Czyż należy się dziwić? W opublikowanej jeszcze w 1969 r. książce „Notatki z Chin” znany polski dziennikarz Stanisław Głabiński, pisząc o swoich obserwacjach z początków „rewolucji kulturalnej”, cytował m. in. fragmenty tzw. stupunktowego wykazu żądań Czerwonej Gwardii, w tym passus dotyczący teatru i filmu: „We wszystkich teatrach i kinach należy stworzyć odpowiednią polityczną atmosferę. Przed każdym przedstawieniem czy seansem należy nadawać cytaty z dzieł Mao. Nie dopuszczamy do tego, ażeby sceny były okupowane przez burżuazję. Z filmów i sztuk teatralnych należy usunąć złe, nieodpowiednie sceny. Film i teatr muszą służyć robotnikom, chłopom i żołnierzom”.

Tak widziano kino chińskie jeszcze w połowie 1978 r. I oto nagle, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, zaczęła się dokonywać w jego łonie nieprawdopodobna wręcz przemiana. Jesteśmy świadkami zaskakujących dokonani reżyserów, sprawności warsztatowej aktorów, operatorów i montażyistów, zadziwiająca baza techniczna, jaką wydają się dysponować Chiny. No i wreszcie tematyka: filmy sensacyjne, przygodowe, psychologiczne, historyczne, liczne filmy „rozliczeniowe” dotyczące lat oraz wypaczeń „rewolucji kulturalnej”. Jakby nagle pękła twarda skorupa, ujawniając coś bardzo żywego, bardzo twórczego, co rosło i nabrzmiewało w sercu Chin przez te wszystkie lata, gdy my, z zewnątrz, widzieliśmy przed sobą tylko niewzruszoną, nieprzenikloną ścianę Wielkiego Muru.

Na 1 stronie fotos z filmu „Piękna kurtyzana” w reż. Zhou Yu.

Polemiki

Każdy członkiem i wkładcą Ireneusz J. Kamiński

W KOCKU, przy drodze przecinającej to miasteczko, widziałem kiedyś okazałą planszę z napisem: „Każdy rolnik członkiem i wkładcą”.

Wymyślony w celach propagandowych przez bank spółdzielczy, slogan ten tak wysterował mój system asocjacyjny, że w każdym rolniku, szczególnie zaś w rolniku młodym i barczystym, postrzegam odąd członka i wkładcę. Oto potęga słowa, odpowiednio wystawionego na widok publiczny!

Nie wiem, czy w Kocku był kiedykolwiek Jerzy Olek — kierownik wrocławskiej galerii „Foto-Medium-Art”, krytyk sztuki, fotografik. Z całą pewnością mogę przeczyć stwierdzić, że w poetyce cytowanej planszy utrzymane są poniekąd jego opinie, zawarte w wywiadzie dla „Kierunków” (9/1986). Slogan z Kocka nakrywał rzeczywistość bankowym o niej wyobrażeniem, niejako zaklinał świat wedle własnego ideału spółdzielców, lekce sobie wazących to, że nie każda zagroda wiejska może pochwalić się członkiem i wkładcą w zasięgu ręki. Daleki od rolnictwa i pozytywnej praktyki oszczędzania na procent, Jerzy Olek postępuje w istocie podobnie: podporządkowuje realny bieg wydarzeń osobistym marzeniom, tyle, że w polu sztuki awangardowej, posługującej się mediami fotografii.

Z braku miejsca nie będę „sprawdzał” wszystkich takich pokerowych zagrywek Olka, choć korei mnie, by opowiedzieć z nim o polskiej fotografii analitycznej w redakcji konceptualnej, „Tautologiiach” Dłubaka, które to fenomeny krytyk lokuje wysoko na ścieżkach sztuki europejskiej, ba — światowej nawet.

Nie będę też udawał zdziwienia, że niedawny aktywista tzw. neoawangardy, analityk prawie naukowy, badacz samej natury fotografii, publicysta sejmistyczno-semiotyczny, człowiek traktujący zdjęcia jako estetycznie objęte i technicznie byle jakie narzędzia unaoczniania rewelacji teoriopoznawczo, że taki Olek już nie istnieje, a jego miejsce zajął ktoś, kto głosi oto potrzebę intuicji, perfekcji warsztatowej i poszanowania dla autotelicznych przymiotów fotografii. Nie dziwię się, że onże wabi ostatnio publiczność saltem typu „zero koma pięć” i stojąc na głowie oznajmia: „Jest to pozycja, czy może lepiej powiedzieć postawa, bardziej kontemplacyjna”. Wyczerpała się wiara w rozum, w matematyczne przeliczniki sztuki, obecnie chodzi o subtelne nastroje subiektywnego ducha. „To znaczy tak jak tamten okres był okresem analizy, tak ten próbuje być okresem syntezy, całościowego widzenia świata i miejsca, jakie zajmuje w nim człowiek. Świata wzbogaconego o element duchowy i z takiej potrzeby tworzony obraz”. Oczywiście, dodaje Olek, „nie jest to wyłącznie specyfika polskiej fotografii”.

Prawda, wszak kontemplacja na głowie intensywnie zajmują się, od dawna, Hindusi oraz miś Yogi i dobra milionerka z serialu australijskiego, z obawy przed nudnością oszczędzona nawet przez krwiożercze krokodyły.

Reorientacja Olka nie budzi emocji w powyższym szczególe, ale i w ogóle, albowiem do nawróceń jakby już przywykliśmy.

O co zatem chodzi? O perskie oko, które puszcza do nas autor, manifestując w wywiadzie dobre samopoczucie człowieka, który wie, że znów trafił na dobrą drogę — jako jeden z pierwszych.

Wrocławianin zawsze ujawniał skłonności misyjne i profetyczne, wręcz zasympuje Polskę i Europę, a może też Polinezję, swoimi drukowanymi opiniami o sztuce. Obecnie, jak wynika z interviewu, nie poniechał tych praktyk, mało tego — zdążył już opublikować w „Getyndzie” gdzie wychodzi czasopiśmie „Europejska Fotografia” coś w rodzaju manifestu „aktualnej idei, który spotkał się z oddźwiękiem u samego profesora Gottfrieda Jägera, „twórcy pojęcia fotografii generatywnej — generującej no-

we jakości [...]”. Uczony szczerze wyznał w liście do Olka, że twórcze założenia wrocławianina „są zbliżone z tymi, które on sam obecnie propaguje”, no i zaproponował nazwemu krytykowi autorski współdział w książce „Nowe idee fotografii po roku 1945”, zapraszając jednocześnie artystę do uczestnictwa w odpowiednio wyprofilowanej wystawie w Bielefeld, gdzie zresztą i ja byłem przed laty, na campingu, namiot w namiot nocując z punkami, co dało mi tzw. niezatarte wrażenia.

Sprawa wydaje się wielka, zatem pora wyjaśnić, na czym polega to nowe podejście do fotografii.

Otóż, stwierdza Olek, obecnie „wypowiedzi fotografa mają być takie, by nie mogły zostać powtórzone za pomocą rysunku, grafiki, malarstwa, [...] W odróżnieniu od fotografii dokumentalnej, która w swoim założeniu jest oknem na świat, ta fotografia, o której mówię, ma być wypowiedzią artystyczną, dla której rzeczywistość jest jedynie pretekstem. Można sfotografować cokolwiek. Istotą nie jest pokazanie jakiegoś kąta na strychu, tylko fotografii, która w tym kącie została wykonana, której ów kąt strychu posłużył za motyw. (...) To jest komponowanie obrazu typowymi dla fotografii środkami”.

Faktycznie, owszem, dlaczego nie, można i tak, tylko po co robić z tego sprawę, skoro:

— już w 1890 roku Maurice Denis, malarz i grafik francuski, zalecał, aby „pamiętać, że obraz, zanim stanie się koniem bitewnym, negą kobietą lub jakkolwiek inną anegdotą, jest przede wszystkim powierzchnią płaską pokrytą farbami w określonym porządku”;

— w 1918 roku Zbigniew Pronaszko, malarz pierworzędny i myślicy, stwierdzał, że „malarstwo nie może być powrotem do natury, malarstwo musi być zawsze powrotem do obrazu”;

— w 1931 roku artyści skupieni w „Komitecie Paryskim”, polskim przecież, oznajmiali: „Głównym warunkiem powstania obrazu jest jego koncepcja malarzka. Niezależnie od tego, czy płótno było malowane z wyobraźni czy z natury, musi być widoczny malarzki powód, dla którego było stworzone [...] Płótno nie musi być wykonane, ale musi być rozstrzygnięte po malarzku”.

Wymieńmy w tych cytatach terminy plastyczne na fotograficzne, co zresztą nie wydaje się konieczne, a dojdziemy do ciekawego wniosku: że Jerzy Olek 1986 jest m.in. ideowym spadkobiercą naszych kapistów-postimpresjonistów sprzed ponad pół wieku. Prawdziwa ironia losu, albowiem po II wojnie orientacja ta była zniechęcona przez na-

szą awangardę, która zarzucała postimpresjonizm, że produkują sztukę drobnomieszczkańską, salonową, lekkostrawną i przyjemną li tylko dla oka.

Ale po co szukać tak odległych precedensów Olkowej sprawy, skoro niemal każdy bardziej uparty fotoamator ma w swoim dorobku zdjęcie samo dla siebie, wypełnione czystą treścią fotograficzną.

Problematyczność tej całej historii można by przeczyć zlikwidować prostą konstatacją: że mamy oto do czynienia z powrotem do źródeł, gdzie znów uprawione są pytania „o istotę i sens fotografii”, a repetycje w stylu „neo” stanowią praktykę zwyczajną. Olek, owszem, napomyka o tym, ale podkreśla coś innego, że opracował już założenia programowe, ogłosił „rodzaj manifestu”, zyskał wielu adherentów, otrzymał ograniczone zaproszenie do przedstawienia się w książce o nowych (i) ideach fotografii, organizuje stosowne wystawy oraz sympozjum w Szczecinie z udziałem osobistości z Brna, Nowego Jorku i Warszawy, jako to Bożena Kowalska, Janusz Bogucki, Władysław Stróżewski czy Stefan Morawski (którzy nigdy zresztą nie przejmowali się nadto fotografią)...

Pod habitem pogrążonego w kontemplacji kameduły nijak nie udaje się więc ukryć Olkowi pawiego ogona starego awangardzisty z lat siedemdziesiątych, dla którego sztuka była szkapą galopującą w międzynarodowym wyścigu po pierwszeństwo. Każde powątpiewanie w autentyczność odnowy duchowej naszego bohatera i spokrewnionych z nim centaurow (braciszków?)

Ambicje Olka najlepiej wszak określa termin „fotografia elementarna”, jakim ochrzcił on aktualne poczynania kontrstrukturalni „Foto-Medium-Art”. Jest to oczywiście termin niebezpieczny dotąd w lekwykonie sztuki współczesnej, a w tej swojej nowości, funkcjonujący niczym magiczne zaklęcie, tak powtarzany z rzeczywistością fotografii, jak slogan z Kocka z obywatelstwem wielkim.

Proponuję pójść dalej i sformułować takie hasło: „Każdy fotograf członkiem elementarnym i perfekcyjnym wkładcą”.

A jak ojcem, a jak matką będę?



Marta Denys

Z TAKSÓWKI o nielubelskiej rejestracji wysiada spiesznie młoda para. Adres snadź jest im już znany. Dzwonek u drzwi płoszy nieco sobotnią ciszę w szarej willi. Dziecięcy głosik oddała się na pięterko. W okienku z napisem: „furta” ukazuje się biały, zakonny kornet. Na pytające, czy życiwe spojrzenie przybysze niecierpliwie wyluszczaają powód swej wizyty: „My w sprawie tego dziecka, siostra wie, czekamy już dwa miesiące, jesteśmy z tak daleka” — łapię pojedyncze słowa. „Tak, wiem, ale matka dziecka nie wyraziła jeszcze zgody, ma prawo zmienić decyzję w ostatniej chwili”. „Ale — my... ale nam...” — pertraktacje przenoszą się do pokoju przyjeżdżającego.

Na górze panuje cisza, jakby nikogo tam nie było albo obecni wstrzymali na tę chwilę oddech. Jak się później dowiaduję, mieszka tu kilkanaście młodych dziewcząt z różnych miejscowości w kraju. Dzisiaj, w sobotę, odpoczywają, może szedelują, może czytają? Spokój jest im szczególnie zalecany, choć może, według starych i wypróbowanych sposobów na lekki poród, powinny zbierać rozsypane pierze? W ciągu tygodnia pracują, jedne w mieście, inne na miejscu. Zajęte jest sporo, około siebie, i dla tej niecodziennej społeczności, coraz to powiększanej krzyżującym malcem.

Nie chcą wizyt obcych, nie chcą być oglądane, rozpytywane... Schroniły się tutaj, do domu samotnej matki, przed okiem ciekawskich sąsiadów, koleżanek, przed rodzicielskim niezrozumieniem i „wyklęciem”, przed własną rozterką, co dalej?

Dom samotnej matki w Lublinie przy ul. Chmielowskiego prowadzi od 1984 roku siostry Pasterki od Opatrzności Bożej, aczkolwiek działalność opiekuńcza siostr datuje się sprzed 20 już lat. Jest to jedno z 15 bodajże zakonnych schronisk tego typu w kraju. Przebywają w nim pod stałą lekarską opieką do czasu porodu dziewczęta, które z uwagi na swój zaawansowany już stan nie zawsze akceptowane w rodzinnym domu i środowisku zamieszkania, musiały je opuścić. Czasem ze wstydu i braku odwagi, by tam pozostać i urodzić panięskie dziecko. Wiele z dziewcząt pozostało więc bez domu, bez pracy, bez środków do życia, skreślonych ze szkolnych dzienników, wyrzuconych z domu i stacji. Z niepewnym losem własnym i mającego urodzić się dziecka. Jedno z rozwizań zgłosił owi sobotni przybysze z taksówki o nielubelskiej rejestracji. Ktoś inny, z zielonogórskiego, wyraził chęć przysposobienia i matki, i dziecka. Pod warunkiem, iż będzie ona osobą... niepalącą.

W ubiegłym roku dom samotnej matki przy Chmielowskiego zameldował 81 nowo narodzonych podopiecznych. Prawie połowa matek zdecydowała się sama wychowywać swoje niezaplanowane potomstwo. Inne oddały je pod czasową opieką do domów małego dziecka — do momentu znalezienia pracy, mieszkania, warunków do samotnego wychowywania dziecka — albo zgodziły się na przysposobienie lub adopcję.

Z zarysowanej przez siostrę przelozoną sytuacji próbuję wyodrębnić problem nieletniego macierzyństwa. Wiadomym i widomym jest skądinąd fakt obniżenia się progu wiekowej inicjacji seksualnej wśród młodzieży, nie tylko w Polsce. W konsekwencji dochodzi do niepożądanego ciąży, nierozbudzonych dostatecznie uczuć macierzyńskich, nie uświadomionej więc roli wychowawczej przyszłych rodziców; powstają niezamierzone tragedie rodzinne i osobiste.

Oczywiście, z uwagi na należąca mieszkankom domu dyskretnie obserwacje mojej rozmówczyni dotyczyć będą znacznie szerszego, niż lokalny, kręgu spraw i zachowań. W praktyce opiekuńczej zakonu trafiały pod dach schroniska, i trafiają, młodzieńki, 13—15-letnie dziewczęta, zaszły w ciążę nierządkiem w okolicznościach dla nich drastycznych. Najwięcej jednak nieletnich samotnych matek zdarza się w 16—18 roku życia. W czasie kilkumiesięcznego pobytu w domu samotnej matki, siostry z właściwym sobie posłannictwem próbują przekonywać i zaszczerpić macierzyńską dumę i godność wśród tych młodych, niezdecydowanych, zestresowanych matek. Nie pozostają one zresztą takie samotne, system pomocy świadczonej im przez państwo, organizacje opiekuńcze, zapewnia warunki bytu i wychowania dzieci. Więc? Więc nie ustają siostry Pasterki w próbach ratowania naturalnego związku matki z dzieckiem. Ostatecznością jest adopcja, choć społecznie oczekiwana.

Problem macierzyństwa nieletnich tworzy się w warstwie osobowości, nierozwiniętym dostatecznie instynkcie macierzyńskim, czemu nie ma się co dziwić. „Przywilej” to poniekąd beztroskiego, młodego wieku. „Zywa” zabawka, acz nie bez trudu i bólu zrodzona, nudzi się szybko. Entuzjazm młodzieńkiej mamy wygasa, pozostaje codzienność obowiązku i dobrze, jeżeli dźwigać ją podejmują się również młode babcie, z prawnej konieczności przysposabiające dziecko „swojemu” do niedawna jeszcze dziecka. O nieoceniona „instytucja” babć

Bywa, że młode matki odrzucają jednak świadomie swoje dzieci, nie chcą ich, nie widzą możliwości ich wychowania. Zgadają się na adopcję. Dyktuje to czasem i dramatyczna konieczność — niezaakceptowania dziecka przez rodziców. Środowisko itp. Czasem pytanie: „A kogo ja podam za ojca?” Sprawy tego typu trafiają także do Ośrodka Adopcyjnego TPD. Wybiera się wtedy mniejsze zło. Tym bardziej, że tysiące rodzin bezdzietnych czeka na możliwość przyjęcia czyjegoś niechcianego dziecka za swoje. Nie jest to jednak procedura szybka w czasie Ośrodek — jak wprowadza mnie w jego funkcjonowanie kierownik, mgr Bogusław Małecki — czyni dokładne rozpoznanie środowiska matki, jej rodziców czy opiekunów. Rozmawia, cierpliwie przekonuje i zachęca do roli macierzyńskiej, do podjęcia niełatwego trudu wychowawczego przez naturalną matką dziecka. Daje czas na decyzję. Pomijam w tym momencie całą prawną stronę pomocy świadczonej przez ośrodek, punktując te działania, które zmierzają do utrzymania naturalnego związku matki z dzieckiem.

Z informacji Urzędu Stanu Cywilnego w Lublinie wynika, że w ubiegłym roku wydano 7250 aktów urodzenia dzieci. Ile spośród nich było potomstwem nieletnich matek, czy nieletnich rodziców, nie wiadomo. Dane takie w statystyce nie są wyodrębniane. Posłużmy się zatem innym obrachunkiem — cytuję za materiałem z „Za i Przeciw” z 1984 roku — „z ogólnej liczby 1,5 mln dziewcząt w wieku 15—19 lat, blisko 110 tys. poddaje się zabiegowi przerywania ciąży, a około 90 tys. rodzi pierwsze dziecko. Ze statystyk prowadzonych przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych wynika, że w naszym kraju co roku przychodzi 30—50 tys. dzieci pozamałżeńskich”. Dla porównania, w Stanach Zjednoczonych co trzecie dziecko rodzi się ze związku również pozamałżeńskiego. A więc — samotne dzieci rodzą, skazane najczęściej również na samotność, dzieci. Także i u nas.

O małżeństwach nieletnich rozmawiam z przewodniczącą VI Wydziału Rodzinnego i Nieletnich Sądu Rejonowego, sędzią Anną Kielasińską. Oto kilka danych: w 1983 roku w Lublinie związek małżeński za zgodą sądu zawarło 372 mężczyźni i 84 kobiety; w 1984 roku — 311 i 116; w 1985 — 343 i 82. Kwestie zresztą wieku i zdolności do zawarcia związku małżeńskiego reguluje stosowny artykuł 10 Kodeksu opiekuńczo-rodzinnego. Dla kobiet jest to granica 16—18 lat, u mężczyzn 18—21, kiedy to za zgodą sądu młodzi mogą się pobrać pod presją pewnych okoliczności. A te najczęściej dyktuje samo życie, a więc przedwczesna i niepożądana ciąża, konieczność przejścia po ojcach gospodarstwa, możliwość uzyskania mieszkania. I miłość! Gwałtowna i rzecz można — piorunująca, wiążąca jednak od jakiegoś czasu nieletnią parę. A młodzi są niecierpliwi. Nagła jakby w obawie, że uczucie to minie! Czasem jest ono tak między młodymi dramatycznie napięte, że i sąd uwzględni te rozgorzałe afekty. Tym bardziej, że nasza młodzież jest psychicznie słaba, nieodporna na przeciwności, desperacka w skrajnych, niesprzyjających okolicznościach. Czy w przyszłości taki związek małżeński będzie szczęśliwy i trwały? Nie ma jednakże danych — z liczby chociażby rozwodów — które by fakt nietrwałości wczesnego związku potwierdzały lub mu przeczyły.

Zdrzutotani najczęściej tą spieszną i przymusową niekiedy decyzją są rodzice. Czyż tak nie jest? Pielęgnują tę swoją pociechę, przypisując jej taką czy inną przyszłość i karierę, a tu masz... Ani jeszcze ukończona szkoła, ani nie odbyte wojsko, ani praca, ani zawód, a wnuk już w drodze... No cóż — miłość! Nolens volens akceptują, finansują, pomagają i przysposabiają najczęściej te „owoce”. Wystają w kolejkach, pierą pieluchy...

Problem nieletniego macierzyństwa komplikuje również środowisko, z którego — jak zauważa prof. Maria Grudniowa, ordynator oddziału położniczego PSK I przy ul. Staszica — wywodzą się najczęściej młode matki. A więc — środowiska rodzin rozbitych, domów dziecka, stacji i hoteli robotniczych. Dziewczęta te, oddalone od rodzicielskiej troski i kontroli, pozbawione poczucia bezpieczeństwa i oparcia, szukają ciepła, miłości, często dowartościowania właśnie w nawiązaniu bardzo wczesnych związków małżeńskich lub samego tylko współżycia.

Młode, nieletnie matki, mimo opieki ze strony lekarzy, wydają się zastraszone i zagubione. Sytuacja ta odmienia się, poczucie bezpieczeństwa wzrasta, kiedy jest nadzieja na uregulowanie i zalegalizowanie związku. Jest to zrozumiałe. Oczekiwanie wtedy na dziecko i jego przyszłą pozycję w życiu dwojga młodych ludzi rozkłada się równomiernie — i optymizmem i uczuciem. I o to właśnie chodzi. Czy sama jednak ta spontaniczna miłość wystarczy do wychowania dziecka?

Listy do Kamony

„Jak szczerze, to szczerze”

POLEMIKA Matyldy Wetny „Kamona” obraca się w kręgu spraw pozornie nie do rozwiązania. Rzecz w tym, że każda ze stron reprezentuje racje niepodważalne. Literaci jako zawodowcy słusznie walczą o swoje prawa, ale przecież pisma regionalne nie mogą być wyłącznie literackie. „Kamona” słusznie nie zamierza zmieniać swojego profilu ani też powiększać działu literackiego ze stron dwóch do, powiedzmy, trzech. Czy jest zatem jakieś rozwiązanie?

Wydaje mi się, że jest, choć może niektórzy uznają to za jeszcze jeden problem księzycowy. Ponieważ nie ma innego, musi być przynajmniej ten nie z tej ziemi.

Zacznijmy od stwierdzenia, że lubelskie środowisko literackie przeżywa teraz swój dobry okres. Korzystając z okazji, należy dbać o to, żeby nie zmarnować szansy, nie zahamować wzrostu. Proponowałbym wydawanie „Lubelskiego Rocznika Literackiego”. Nazwa to nieco przyćmiewa, możemy więc ją zepchnąć do podtytułu, powiedzmy: „Reflektor, Lubelski Rocznik Literacki”. Dzięki temu nowa inicjatywa nawiązywałaby do lokalnej tradycji.

W odróżnieniu od „Akcentu”, zorientowanego (i słusznie) „ogólnopolsko”, miałby ów rocznik charakter ściśle regionalny. Od wydawnictwa polonistycznych czy opracowań typu „pięćdziesiąt lat życia literackiego” różniłby się aktualnością, próbą oceny bieżącego dorobku.

Natógowy polemista od razu powie, że nie ma teraz pieniędzy na deficytowe imprezy. A dlaczego wciąż zakładamy, że kultura w blisko półmilionowej aglomeracji ma być wyłącznie deficytowa? Otóż w dziewięćdziesięciu Drezdenku (dwukrotny krajowy Mistrz Gospodarności) od dwóch lat ukazuje się miesięcznik, nie zaniedbujący także spraw literackich. Wyobraźcie sobie, że miesięcznik ten o nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy nie daje groza deficytu. Cuda się dzieją? Widocznie tak. Redaktorem naczelnym jest magister historii. Korektę robi emerytowany polonista. Operatywnym autorem jest nauczyciel rysunku i prac ręcznych. W odcinkach „Jeci” powieść niejakiego Olezaka, również dawnego nauczyciela z gminy Drezdenko. Niechaj nikogo nie drażnią takie gminne przykłady, bowiem Drezdenko od lat usiłuje przewyciężyć gminne schematy. A groźba zapytałej prowincji wisi także nad miastem wojewódzkim. Wracajmy jednak do rocznika literackiego. Ktoś zauważy słusznie, że są to plany na wyrost. Zgoda, ale bez takich planów nie ma dalszego rozwoju.

Janusz Olezak

Nadsyłajcie exlibrisy!

Zarząd Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki uprzejmie informuje, że w październiku 1985 r. w Galerii „Ex libris” Klubu MPiK w Lublinie (Krak. Przedm. 20) zostanie otwarta wystawa „III Biennale Współczesnego Exlibrisu Lubelskiego”.

Do udziału w wystawie zapraszamy zarówno grafików profesjonalnych jak i nieprofesjonalnych twórczych exlibrisy, którzy zechcą nadesłać swoje prace z istnieniem dwu lat (1984—1985) do połowy kwietnia 1985 r. pod adresem Towarzystwa (Lublin ul. Narutowicza 4). Zarząd LTMK zastrzeżenie sobie prawo wyboru prac na wystawie Exlibrisy powinny zawierać oprócz słów „EX LIBRIS” także imię i nazwisko lub nazwę właściciela księgozbioru.

Zarząd LTMK zamierza wydać obszerny katalog i dlatego prosi autorów o nadsyłanie krótkich not biograficznych.



Akwaforta Jana Popka (1912-1980) z wystawy w lubelskim Muzeum Okręgowym, która otwarto 20 marca br. Ta wielka ekspozycja dorobku zmarłego jednocześnie, wybitnego artysty obejmuje 194 obrazy temperowe, 70 rycin, około 25 grafik, w tym wiele prac nigdy dotąd nie pokaziwanych publicznie. Wystawa czynna do połowy kwietnia.

Muzyka młodzieżowa

Cory Gun vel?...

Idę o zakład, że nie znacie Cory Gun. Nie jest to bynajmniej nowofalowa gwiazdka z Londynu. Ta uroczą panią, prezentującą się dosyć często w programach zachodniemieckiej TV i włoskich składankach typu „umpa-pumpa”, powinna być pamiętana choćby przez część trzydziestolatków i czterdziestolatków. Otóż Cory Gun, wspomagana przez rockową grupę Blackbird, to nikt inny jak KARIN STANEK — niegdyś gwiazda zespołu Czerwono-Czarni i maskotka polskiej estrady. Sądzę, że dawno przestała śpiewać i wspomina co najwyżej stare czasy. Byłem jednak w błędzie. Cory Gun, zdawałoby się wokalistka całkiem zapomniana, radzi sobie zupełnie nieźle na Zachodzie. Ma tam stały program radiowy, życzliwych sponsorów i liczny zastęp miłośników jej głosu. Furory co prawda nie zrobiła, choć próbowała występować także na gruncie amerykańskim. Sensacją jest fakt, że dalej śpiewa. Dawno nie słyszana w Polsce gwiazda rada by była powrócić do łask rodzimej publiczności. Nie wie tylko, jak ma to zrobić. Trzeźwo patrząc, jej szanse są zerowe, zważywszy repertuar, jakim Cory posługuje się na co dzień.

Nigdy nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ta uroczą dziewczynka, z warkoczami i nieodłączną gitarą akustyczną, nie nie potrafi. Minoderyjna i denerwująca sztywna, nie umiała poradzić sobie z dykcją, emisją głosu, grą na gitarze. Nie rozstawała się jednak z opiekuńczymi skrzydłami Czerwono-Czarnych, stanowiących w owym czasie azyl dla estradowych mlernot. Nadszedł kiedyś moment gruntownych prze-wartościowań i w tej grupie, w których wyniku Karin wraz z Jackiem Lechem, Kasią Sobczyk i Henrykiem Fabianem znalazła się „za burtą”. Całkiem słusznie, bo słuchacze mieli najzupełniej dosyć „Czekoladowego kremu”, „Autostopu” i „Malewanki lali”, serwowanych setki, ba, może tysiące razy.

Rozgoryczona brakiem zainteresowania w kraju i pozbawiona szans na renesans popularności, zrezygnowała na jakiś czas z koncertów. Zamierzała nawet poświęcić się kształceniu. Najwidoczniej jednak dawne przyzwyczajenia okazały się silniejsze, skoro bez większych retusów postanowiła spróbować wyczerzać się na granicy, dokładniej zaś w NRD. Kiepskie to były popisy, niemniej udawało się jej występować w jakichś składankach. Później z braku powodzenia zdecydowała się wyjechać do RFN. Tam podobno uśmiechnęło się do Karin szczęście, bo zaproponowano jej udział w programach TV, a firma Phonogram (ta, która lansowała swego czasu Dwa Plus Jeden) wydała jej singla. W taki oto sposób odmleniona wewnętrznie Cory weszła na „szeregi” występów w klubach. Po knajpijanych występach w Australii i Szwajcarii wyjechała na półroczne występy i nagrania do USA. Uzyskała możliwość pokazywania się w polonijnych klubach „Melody of Love” (Chicago) i „Zodiak” (Nowy Jork). Występowała w show telewizyjnym Joe Franklina, a nawet dotarła na American Song Festival organizowany w Hollywood. W blasku zdobytej tam sławy mogła spokojnie powrócić do RFN i dalej próbować nagrywać, tym razem dla bardziej znaczących firm: Bellaphon i Polyband.

Ludziłyby się ktoś, sądząc, że reklamowana jako rock-lady z Polski, czy polski odpowiednik Elvisy Presleya, Cory zmieniła się pod wpływem tego, co widziała i słyszała w Ameryce. Pozostała taka, jaka była, ze starymi nawykami, wadami dykcyjnymi i kardynalnymi brakami muzycznymi. Nie wiedzieć po co, wzmówiono jej, że jest nadzwyczaj muzykalna i utanczona, ma zabawny dziewczęcy wygląd i papierosową chrypkę. Mimo tych „atutów” nie będzie z niej niesztywna nowa Suzy Quarto, Bonnie Tyler czy Kim Carnes, chociaż próbuje je nieudolnie naśladować. Cory Gun nadal śpiewa kształki, które nie tylko śmieją, ale wręcz irytują tania poetyka tekstów, infantylnością interpretacji i brakiem gustu. Potwierdza to jej ostatnio dokonane nagrania „Let's Have A Party”, „Your Turn Me On”, „Don't Play That Game With Me” i „Tell Me”.

Cory Gun identyfikuje się z rock and rollem, funky i disco, śpiewając w języku niemieckim, angielskim, francuskim i włoskim. Robi to jednak mało przekonująco, by została zaakceptowana przez tłumy nastolatków. Ponad dziesięć lat trwa jej przemamywanie obojętności słuchaczy, a satysfakcjonujących efektów nie widać. Oczywiście wychodzi na wierzch brak samokrytycyzmu i wiara w siłę przebiecia, której akurat nie posiada. Być może przyjdzie jej jeszcze długie lata funkcjonować na zagranicznych estradach jako wykonawczyni siódmego garnituru, ale kariery nie zrobi. Zresztą czy może o niej marzyć?

Trudno wyrokować inaczej o wokalistce, która nawet na jotę nie chce (a może nie potrafi) zmienić dawnych przyzwyczajeń i upodobań. Era samorodnych talentów z gitarą, które bez przygotowania mogły doprowadzić nastolatków do euforii, bezpowrotnie minęła. Dziś liczy się muzyczna fachowość, oryginalność głosu, rzetelny warsztat, umiejętność gry na kilku instrumentach. Cory Gun jakby o tym nie wiedziała i brnie na oślep ku wymarzonej Arkadzie. Niestety jest to wyłącznie iluzja.

Istvan Grabowski

Nie jest aż tak źle

Dokończenie ze str. 3

— Wielu się styży o preferencjach, jakimi resorty służby zdrowia obdarza lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej. Ile w tym prawdy, a ile mitów?

— Podstawowa opieka zdrowotna to, jak wiadomo, świadczenia profilaktyczno - lecznicze i rehabilitacyjne, sprawowane przez lekarza ogólnego lub internistę, pediatrę, ginekologa-położnika i stomatologa w miejscu zamieszkania, pracy lub nauki pacjenta. Ten rodzaj opieki zapewniają przychodnie rejonowe w miastach, gminne, wiejskie i przyzakładowe ośrodki zdrowia na wsi. Lekarze, szczególnie młodzi, niechętnie podejmują pracę w podstawowej opiece zdrowotnej ze względu na jej uciążliwość, częstokroć nielimitowany czas pracy, a także odpowiedzialność za zdrowie i życie pacjentów w warunkach, kiedy lekarz zdany jest wyłącznie na własne siły, umiejętności i intuicję i nie może liczyć na niczyją pomoc, radę czy konsultację. W tej sytuacji preferencje, przyznawane lekarzom podstawowej opieki zdrowotnej w postaci nieco wyższych płac oraz możliwości uzyskania asygnaty na zakup samochodu (dotyczy to głównie lekarzy ogólnych i pediatrów), są zupełnie uzasadnione. Z drugiej strony trudno nie zauważyć, że prowadzona ostatnio polityka placowa resortu zdrowia powoduje, że praktycznie pensje lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej kształtują się na tym samym poziomie co lekarzy zatrudnionych w zakładach stacjonarnych...

— Jaki jest udział kierowanego przez pana zakładu w kształtowaniu i usprawnianiu opieki zdrowotnej w naszym regionie i kraju?

— Cel medycyny społecznej to badanie wpływu czynników społecznych na zdrowie ludności. Jednym z takich czynników jest system ochrony zdrowia w danym kraju. Przedmiotem naszych badań są przede wszystkim potrzeby zdrowotne społeczeństwa, wyrażane przez korzystanie z usług służby zdrowia. Zajmujemy się głównie przewlekłymi chorobami. Oprócz tego zaangażowaliśmy się znacznie w badania z zakresu ekonomiki zdrowia oraz wpływu norm prawnych na strukturę i funkcjonowanie zakładów służby zdrowia. Nieco poza głównym nurtem naszych zainteresowań, niemniej bardzo ważne, są dla nas tematy związane z patologią społeczną, szczególnie alkoholizmem. Badamy także opinie pacjentów o funkcjonowaniu poszczególnych form opieki zdrowotnej. Między innymi wysondowaliśmy opinie o działaniu podstawowej opieki zdrowotnej w Lublinie oraz pomocy doraźnej w Lublinie i Bełżycach. Uzyskane wyniki świadczą, że społeczeństwo wcale tak źle nie ocenia służby zdrowia, jak wynikałoby to z opinii np. dziennikarzy.

— Czyli nie podziela pan krytycznych opinii wyrażanych pod adresem służby zdrowia na łamach publikatorów?

— Całość opinii o funkcjonowaniu służby zdrowia można podzielić na trzy rodzaje w zależności od tego, kto je głosi. Pierwsza grupa to publikatory, które koncentrują się przede wszystkim na incydentalnych przypadkach negatywnych i uogólniając je tworzą na tak nikłej podstawie czarny obraz krajowej służby zdrowia. Druga grupa opinii powstaje wśród ludzi zdrowych, którzy idą do lekarza po różnego rodzaju zaświadczenia, skierowania na rutynowe badania itd., a więc ze sprawami nie wynikającymi bezpośrednio z ich stanu zdrowia. Po prostu idą do lekarza jak do sklepu, denerwują się, jak wszyscy się denerwujemy, czekając w kolejkach na usługę. Czekają faktycznie długo, z naszych badań wynika, że średni czas oczekiwania wynosi od pół godziny do godziny, podczas gdy sama wizyta

trwa około 10 minut. Jeśli weźmie się pod uwagę, że idzie tu o ludzi zdrowych i pełnych energii, wówczas trudno się dziwić, że tworzą oni negatywne opinie na temat służby zdrowia. Trzecią grupę stanowią osoby chore, w tym osoby chore przewlekłe. I tu z badań wynika, że ponad 90 proc. pacjentów jest zadowolonych z usług naszej służby zdrowia. A uznać trzeba, że to ocena najbardziej rzetelna, ponieważ wynika przede wszystkim z częstego korzystania z tych usług.

— Środowisko medyczne ekscytuje się planowaną przez resort zdrowia i opieki społecznej podwyżką plac pracowników służby zdrowia. Na ile to nowe plany w polityce placowej resortu mogą wpłynąć na efektywność działań służby zdrowia?

— W chwili obecnej znajdujemy się na etapie dyskusji związanej z tak zwaną podwyżką plac dla pracowników służby zdrowia. Mówię „tak zwaną” dlatego, że nie zbliżyła nas ona do średniej płacy krajowej, która rośnie znacznie szybciej niż płace służby zdrowia; ani prawdopodobnie nie zrekomensuje obniżenia poziomu życia wynikającego z ostatnio wprowadzonych podwyżek cen w Polsce. Tak zwany biały personel, czyli fachowy personel medyczny, a więc lekarze i pielęgniarki, stanowi około 1/3 wszystkich pracowników służby zdrowia, a tych ostatnich mamy w tej chwili w Polsce około 800 000. Jak już powiedziałem, średnia płaca tych pracowników znacznie odbiega od średniej ogólnopolskiej, co powoduje, z jednej strony, duże niezadowolenie tej grupy społecznej, a z drugiej, wpływa na ilość i jakość wykonywanej pracy. Jeżeli chodzi o biały personel, są to ludzie, którzy przez kilka czy kilkanaście lat uczyli się swego zawodu i praktycznie nie mają możliwości jego zmiany. Muszą się więc z niskimi płacami godzić. Problem natomiast jest znaczny w przypadku pozostałych pracowników, jak pracownicy obsługi technicznej czy administracyjnej, którzy mogą bardzo szybko znaleźć pracę w innych konkurencyjnych zakładach, w innych resortach, gdzie uzyskują płace wyższe niż w służbie zdrowia. Powoduje to znaczną fluktuację kadr i zmniejszenie dyscypliny pracy. A trudno sobie wyobrazić pracę na przykład szpitala bez kuchni, pralni, bez ogrzewania i bez sprawnego działania kanalizacji, wodociągów, elektryczności itp.

— W jednej ze swoich książek napisał pan, że w Polsce istnieją grupy ludności szczególnie dotknięte pod względem sprawności nad nimi opieki medycznej. Co miał pan na myśli?

— Jest to pogląd powstały podczas badań naukowych nad przewlekłymi chorobami, a uzasadniony istnieniem w Polsce różnych tzw. wyodrębnionych służb zdrowia, zorganizowanych w niektórych resortach dla ich pracowników. Tutaj pacjenci mają znacznie większy i łatwiejszy dostęp do stacjonarnych form opieki zdrowotnej, czyli do szpitali i sanatoriów, niż przeciętny Polak, nad którym opiekę medyczną sprawuje powszechna służba zdrowia. W związku z tym dopóki będą istniały wyodrębnione służby zdrowia, dopóki opiekujące się nimi resorty będą miały możliwość inwestowania większych funduszy w te służby, donoty ta nierówność będzie nadal istniała.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Aleksander Mora

Doc. dr hab. Leszek Wdowiak jest wicedyrektorem Instytutu Medycyny Społecznej w Lublinie, powołanego w 1977 roku. Równocześnie pełni funkcję kierownika Zakładu Organizacji Ochrony Zdrowia w tym instytucie. Od 1979 roku sprawuje specjalistyczny nadzór nad organizacją ochrony zdrowia w województwach: bielskopodlaskim, chełmskim, lubelskim, radomskim i zamojskim. W 1983 roku powołany został w skład Krajowego Zespołu Nadzoru Specjalistycznego.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopolowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Maria Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasinski (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kaminski (komentator), Lidia Woiwick (redaktor techniczny) - Ewa Dybek korektor - Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzeż sobie prawo skrótoń. W sprawach literackich otrzymuje interesantów kierownik działu w odtaki w codz. 14-18. Druk Lubelskie Zakład Graficzny im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 1.

Wydawca: Robertowa Spółdzielnia Wydawnicza NSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 8 tel. 353-20.

Telefony sekretariatu redakcji naczelnej z-ca redaktora naczelnego 353-93, sekretarz redakcji 318-83, datat publikacyjny i literacki 333-33.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 26-950 Lublin skrytka pocztowa 431 polecone i ekspresowe - pod adresem redakcji.

Zam. 860 1984-03-18 F. 4

OLAWA

Cud i po cudzie?

Co dzisiaj dzieje się w Oławie, dokąd ciągnęły również pielgrzymki z naszego regionu (pisała kiedyś na ten temat Izabela Wlazłowska w „Tygodniku Zamajskim”)? Czy po oficjalnym komunikacie Biura Prasowego Episkopatu Polski, zmierzającym do pozbawienia wjarygodności rencisty Kazimierza Domańskiego, na którego sugestie pobożni pielgrzymi obwołali go uzdrowicielem i mesjaszem, fala najazdów na Oławę opadła? Zajmuje się tą sprawą Piotr Adamczyk w 11 n-rze tygodnika „Sprawy i ludzie”:

O GŁOSZONY w styczniu apel biskupów tylko w nieznaczonym stopniu zahamował napływ pielgrzymów. Religijne obrzędy nadal odbywały się na olawskich działkach. Władzom kościelnym przysła więc z pomocą milicja, regularnie penetrująca ogródki. Do władz miejskich zaczęły jednak napływać niepokojące wieści. Po sprawdzeniu okazało się, że w kilku regionach kraju pielgrzymi znów spობią się do drogi, szukając kolejnej najazd na Oławę. W tej sytuacji, nie czekając już na rozwój wydarzeń, postanowili włączyć się do akcji Miejska Rada Narodowa.

26 lutego br. zwołano posiedzenie rady:

Przewodniczący MRN:

— Zwolaliśmy to posiedzenie, bo już od ponad dwóch lat miasto boryka się z kłopotami wynikającymi z działalności obywatela Kazimierza Domańskiego i mimo pewnych symptomów wskazujących, że sprawa przycicha, nadal istnieje groźba, że w każdej chwili może odżyć ze zdwojona siłą.

Przedstawiciel RUSW:

— Problem nielegalnych zgromadzeń na ogródkach działkowych był przez nas szczegółowo badany. Początkowo były to zgromadzenia nieliczne, narastające jednak w czasie. W niektóre dni przyjeżdżało na działki po kilkudziesięciu tysięcy osób. Powodowało to liczne perturbacje na ulicach, hamowało ruch tranzytowy, stwarzało niebezpieczeństwo zarówno na drogach jak i na torach, przez które wędrowali pielgrzymi. Zorganizowane pielgrzymki korzystały z różnych środków transportu — m.in. ze służbowych ciężarówek zbierających z zapisanych w kartach drogowych tras, karetok pogotowia, wozów bojowych straży pożarnej. W sposób nielegalny wynajmowano także autobusy z całego kraju.

8 grudnia do naszego 35-tysięcznego miasta przyjechało ok. 50 tys. pielgrzymów. Podobnie było 1 stycznia br. Przyjechało ponad 100 autobusów z całego kraju i ponad 400 samochodów osobowych. 82 autobusy zaparkowały w Brzegu, a stamtąd pielgrzymi przyjechali pociągami. W związku z działalnością Domańskiego dwie osoby zmarły na działkach, a dwie zginęły na torach. Na kolegium trafilo 11 wniosków o ukaranie Domańskiego na łączną kwotę 80 tys. złotych. 7 lutego skierowano na kolegium 70 wniosków o ukaranie pielgrzymów za udział w nielegalnych zgromadzeniach na łączną kwotę 380 tys. zł i 26 wniosków za nielegalny handel zdjęciami, dewocjonaliami i kasetaami, które sprzedawano jako nagrania głosu Matki Boskiej. Zajęto towar wartości 150 tys. złotych.

(...) Przedstawiciel ZOZ:

— W dniach pielgrzymek olawska służba zdrowia ma trudności z zapewnieniem pomocy medycznej. Karetki pogotowia, hamowane przez tłumy pielgrzymów, dojeżdżają do chorych ze znacznym opóźnieniem. W sytuacjach gdy są wzywane do porodów, zawałów lub wypadków, każde spóźnienie może wywołać śmiertelne zagrożenie zdrowia. Pacjenci Domańskiego często wzywają pomocy. Ołączająca altankę ciżba uniemożliwia jednak dotarcie do chorych. Izba przyjęć jest pełna pielgrzymów. Przechodzą z odniesionymi na działkach urazami i potłuczeniami. Rodzaj tych obrażeń jest poważny. Często są to ludzie bez dokumentów i pieniędzy na drogę powrotną. Równie często są to osobnicy chorzy psychicznie, demoluujący nam izbę przyjęć i wdający się w bójki z lekarzami.

Przedstawiciel sanepidu:

— Pielgrzymi, jako duże skupiska ludzkie mogą stanowić poważne zagrożenie epidemiczne. Po pierwsze: szaleń na działkach nie wystarczy. Pielgrzymi zalatwiają więc swe potrzeby fizjologiczne na klatkach schodowych, w piwnicach domów, zanieczyszczają uprawy na działkach. Mogą być nosicielami chorób zakaźnych, a wówczas zaradki wydalone z kałem i moczem na uprawy działkowców mogą wywołać epidemie. Po drugie, pita na działkach woda, której niektórzy pielgrzymi przypisują właściwości lecznicze, jest wodą podskórna, zanieczyszczoną bakteriologicznie, mogąca spowodować masowe zatrucia.

Przedstawiciel PKS:

— Zjawiska masowych pielgrzymek nie dało nam się ująć w żadne ramy. Autobusy grzęzły w błoku na wiele godzin. Ludzie dojeżdżający do pracy często nie mogli do nich wejść. Do autobusów o pojemności 160 osób wsiadało się po 300 pasażerów. Próbowaliśmy rozładować ruch dodatkowymi autobusami, ale sytuacji nie dało się opanować.

Przedstawiciel PKP:

— Nasza stacja nie jest przystosowana do takich inwazji. Scigaliśmy pomoc z innych stacji, ale i tak bezpieczeństwo podróży było zagrożone. Pielgrzymi wypychali się na tory, tuż pod nadjeżdżające pociągi.

Przewodniczący MRN:

— Wiara jest sprawą delikatną. Ale po ogłoszeniu decyzji biskupów, zadającej kłam objawieniom Domańskiego, a także biorąc pod uwagę wypadki śmierci oraz przedstawiony stan zagrożenia, sądzę, że nie możemy tego dłużej tak zostawić, bo zjawisko jednak trwa i są symptomy, że będzie trwało. Racjonalne argumenty niewiele tu pomogą. Wierni mają nadzieję, że biskupi zmienią swą decyzję.

Członek MRN:

— Brakuje mi jednak odpowiedzi na pytanie, kto manipuluje Domańskim? Wiemy, że miał on kontakt z jednym z proboszczów wrocławskich, który z kolei miał na pieńku z kardynałem Gulbinowiczem, co zresztą znalazło swój wyraz w objawieniach Domańskiego, który zaczął straszyć kardynała Sędem Ostatczym. Nie wiemy też nadal, kto podszył się pod Matkę Boską i nagrał swój głos na kasecie. Osoba ta miała doskonałą dykcję, biegła posługiwała się łaciną i znał było, że nieobecne są jej długotrwałe mowy.

Przedstawiciel RUSW:

— Ta osoba jest nam znana, ale obecne gdzieś się ukrywa.

Przewodniczący MRN:

— Prasa ośmieszyła objawienia, biskupi wystosowali apel do wiernych, milicja przyhamowała najazdy, ale nie udało się, że sprawa została zakończona. Trzeba zlikwidować miejsce sztucznego kultu, bo w przeciwnym razie to wszystko za jakiś czas odżyje.

Naczelnik miasta:

— W lutym zatrzymano na działkach księży, którzy uczestniczyli w obrzędach religijnych Domańskiego i tym samym utwierdzali wiernych w przekonaniu o prawdziwości jego objawień. Mamy jednak kłopoty nawet ze skazywaniem ich na kolegium. Np. jeden z zatrzymanych księży pokazał papiery świadczące o tym, że jest chory psychicznie, więc go natychmiast zwolniono bo przecież nie można wyciągać sankcji wobec osób niepełnych. Byłoby to sprzeczne z prawem. Musimy podjąć stanowcze kroki, bo właśnie otrzymaliśmy niepokojące telexy z Górc, Przemysła i Przasnysza. Trwają tam przygotowania do masowej inwazji pielgrzymów na nasze miasto.

Po dyskusji MRN postanowiła m.in. zobowiązać odpowiednie władze do współpracy i rygorystycznego przestrzegania prawa w stosunku do osób uczestniczących w nielegalnych zgromadzeniach. Postanowiła także zobowiązać Zarząd Pracowniczych Ogródków Działkowych do odebrania Domańskiemu wykorzystywanej niezgodnie z przeznaczeniem działki.

Postanowienie przyjęło jednomyślnie, chociaż niektórzy członkowie rady zastanawiali się, kto będzie tak odważny, że posadzi pietruszkę na miejscu niedawnego jeszcze kultu... Obecny na posiedzeniu MRN nauczyciel z Zespołu Szkół Zawodowych w Oławie, mgr Franciszek Nowacki proponuje, by przysłuchać się dyskusji jego uczniów (...)

W dyskusji biorą udział uczniowie klasy III „?”. Prawie wszyscy są wierzący i chodzą na katechezę.

— Mamy praktykę w ZNTK, tam, gdzie pracował Domański. Na początku ludzie mu wierzyli i uważali go za świętego. Dostawali bzik na jego punkcie. My przeszła też. Ale jak ukazały się publikacje w prasie w których Domański opowiadał, że ma nagrany głos Matki Boskiej, to przestaliśmy mu wierzyć. Przesadził.

— Do tego numeru z taśmą to wielu z nas we wszystko mu wierzyło, ale Domański przekroczył pewną granicę i teraz ludzie się czają, bo niektórym jest wstyd, że dali się nabrać.

— Nasz ksiądz ostro wtedy powiedział, że jak ktoś z nas tam pójdzie, to mu na spowiedzi nie da rozgrzeszenia.

— A Domański dalej robił numery... Najpierw zapowiedział, że 1 stycznia będzie objawienie, a potem je odwołał, bo przyjechali do niego goście.

— Raz przyszła żona Domańskiego i powiedziała, że ona będzie „zdrowiać”, bo mąż dzisiaj nie może. Wtedy przestałem w to wierzyć, bo niby skąd u niej taka moc?

— A ja bym w to wierzył, bo jak są siły nadprzyrodzone, to wszystko mogą zrobić.

— Nawet nagrać się na kasetę?

— Nawet.

— To chyba z całej klasy tylko ty jeszcze w to wierzysz?

— Kościół też przez dwa lata nie był zdecydowany.

— Fakt. Dali komunikat dopiero wtedy, gdy zaczęło się tam szerzyć jakieś inne wyznanie. Biskupi bali się konkurencji. To się nawet jakoś uczenie nazywa.

— Schizma?

— Chyba tak.

— Poza tym ludzie widzieli tam dziesięciu

1	2	3	4	5	6	7	8	9
	16	17		18	19	20	21	22
29	30	31		32	33	34	35	36
	42	43	44	45	46	47		48
	55	56	57	58	59	60	61	
68	69	70	71	72		73	74	
81	82	83	84	85	86			87
94	95	96	97		98	99	100	101
108	109	110	111	112	113	114		115
	123	124		125	126	127	128	129
134	135		136	137	138	139	140	141
	147	148	149	150	151		152	153
160	161	162	163	164		165	166	167

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści autora, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 17 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami, a podwójne — między zdaniami.

Wyrazy pomocnicze

- poeta rosyjski — „imazynista” — 135, 28, 11, 33, 117, 1, 173, 16.
- pokrywa blachę garnków — 9, 22, 63, 150, 80, 25.
- rekwizyt — 29, 138, 120, 113, 21, 87, 144, 38, 146.
- dotatkowy papierek przy podaniu — 30, 2, 106, 47, 84, 41, 52, 114, 172.
- pierwszy park narodowy w USA — 39, 31, 34, 58, 12, 19, 88, 78, 124, 71, 97.
- dolegliwość — 13, 91, 82, 53, 108, 100, 93, 36.
- granica, kresy — 77, 43, 62, 49, 122, 167.
- śny dziwak — 20, 70, 42, 116, 119, 153, 54, 129, 60.
- zebranie specjalistów na określony temat — 18, 45, 10, 26, 131, 170, 156, 137, 55.
- szarak — 44, 5, 142, 59, 140.
- uczeń szkoły wojskowej dla nieletnich — 32, 103, 24, 134, 123.
- obraźliwe słowa — 7, 165, 127, 141, 85, 4, 99, 147, 101.
- historyczny okres — 15, 37, 126, 46, 79.
- owoc z pestką — 6, 119, 57, 115, 164, 110.
- widzi wszystko lepsze niż jest — 14, 157, 151, 112, 121, 166, 3, 145, 72.
- dobre do brukowania piekła — 64, 109, 50, 159, 154.
- zagarnięta przez wroga część kraju — 75, 63, 130, 95, 96.
- głownogi z sepią — 168, 61, 40, 102, 160.
- kłamstwo, fanfaronada — 65, 33, 92, 161, 107, 105.
- sprzęt domowy — 152, 162, 90, 143, 163.
- szewskie formy — 51, 89, 48, 56, 133, 17.
- do wigilijnych życzeń — 74, 125, 8, 86, 27, 158, 35.
- zwłoki faraona — 104, 169, 73, 148, 99.
- autor „Pożegnania z bronią” — 87, 155, 136, 128, 98, 81, 132, 23, 139.
- „Ma” w księgowości — 66, 111, 94, 171, 118, 76.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 5 Z SZYFREM

Podłoga: melodramat, intruz, posiedzenie, wiadro, Szymon, Chile, Dniepr, tok, pagoda, róża, azur, Kraków, Men, stress, Orawa, grywa, kadryl, antykwariat, Jarmuz, księgarnia.

Pionowo: siew, stoż, łubr, ekosystem, Dreżno, mtech, Menelaos (Menelaus), Iran, dale, Ostrów, czart, idole, doktorat, Ilawa, próba, kandydat, pustak, rząd, Sumy, ogląda, wnyki, Adam, rama, łoża.

Szyfr: Ziemia jak to ziemia, rodzi zboże, drzewa, różne piękne kwiatki, ale rodzi także reumatyzm.

Julian Kawalec „Przepłyniesz rzekę”

Nagrodę wylosowała Krystyna Superson, ul. Bama 5 m. 3, 20-045 Lublin.

świętych, a to jest niemożliwe, żeby zobaczyć tyłu naraz.

— Czemu nie? W średniowieczu teolodzy dyskutowali o tym, ilu aniołów zmieści się na końcu szpilki.

— No i ilu im wyszło?

— Nie wiem, ale teraz żyjemy przecież w zupełnie innych czasach.

— No i co z tego?

— Nic. Bajer na sto pięćdziesiąt!

Krzyżówka nr 7 - szyfrogram literacki